Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

SŁONKA

(SCOLOPAX RUSTICOLA, DIE WALDSCHNEPFE, LA BECASSE)

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Osiągnięcie znacznych korzyści i użycie wielkiej przyjemności przy niepospolitem zmęczeniu, uważam za wyjątkowe. Najczęściej wyżeł nie słysząc przy sobie upominającego głosu, zapomniawszy o srogim batogu, szuka w oddaleniu, staje w nieprzystępnem miejscu i mimowolnie, nie doczekawszy się strzelca, spłoszy słonkę, lub zerwie się ona w drągowym gąszczu, wreszcie i najlepszy legawiec ulegnie pokusie i pogoni za sarną lub kotną zajęczycą, uciekającą z wysileniem. Znałem urocze na podgórzu zarośla, zwane czahurami, był to istny raj dla myśliwego. Krzaczyste, rozłożone gałęzie liściaste, wypuszczone z pnia dębowego, pojedyncze jodełki lub kępy skarłowaciałe przez spasanie świerków, kląby kalin, gdzieniegdzie gąszczaki olszynek, nadeschnięte pokrzywy i więdniejące paprocie, obłożone drobnymi ślimaczkami, a wszędzie moczary i źródliska, pełne larw i robaków. Wszystkie zarośla były niższe od myśliwego, więc strzelanie i szukanie łatwe; niekiedy na niezbyt szerokiej przestrzeni bywało kilkadziesiąt słonek. Dzień jeden, szczególnie zachwycający, zapisany w mojej pamięci, polując z wyżłem, ruszałem w krzakach parowkami poprzerzynanych, słonki, cietrzewie, chruściele i znaczną ilość sarn, pomknęła też przed psem w niewielkiej odległości niedźwiedzica i podpędzała łapą swego piastuna, goniąc go na leśną ubocz. Opowiadano mi, że gdy przedwczesne śnieżyce spędzą z gór słonki, lub one przed wędrówką zapadną w czahurach dla spoczynku i zorganizowania podróży, wtedy ich czasem bywa na ciasnej przestrzeni po kilkaset. Dwaj moi znajomi, w jesieni jeżeli się nie mylę, polując z wyżłem, zabili w kilku godzinach przeszło 40 sztuk, a gdy nazajutrz wybrali się dobrze przygotowani do mordowania wędrowców, już ich nie zastali. Jak do wszystkiego, tak też do ciągu potrzeba szczęścia, jednego dnia bije się sto ptaków, drugiego ani jednego.

Znam jeszcze jedno nader miłe i łatwe polowanie, dostarczające znacznej zdobyczy, w Galicyi zupełnie zaniedbane. Kraj nasz, poprzerzynany licznemi rzekami, z brzegami zarośniętymi wierzbiną czyli wikliną, rosnącą na namuliskach, gąszcze te zwane ispami, wiklinami i łozami, są kryjówką różnych stworzeń. Najczęściej są to długie, wąskie paski, nader gęste, podszyte dzikim chmielem i pokrzywami, pełne kałuż z wodą i kałabani, więc dają bezpieczne schronienie i obfity żer. Szczególnie w porze ciągów, gdy wielka posucha odstrasza słonki od pagórkowatych, suchych lasów, ciągną one tłumnie korytami rzek i

w tych wiklinach zapadają dla odpoczynku i pożywienia. Nader łatwo przekonać się o ich przybyciu, jeden bowiem człowiek z legawcem lub też bez psa spędzi siedzące tam znużone słonki, byle ta kontrola odbywaną była codziennie. Kilku chłopców wystarcza do wypłoszenia wszystkich. Najczęściej jedna ispa dosyć oddalona od drugiej, słonki w biały dzień nie mają odwagi przelatywać z jednej do drugiej, okrążają więc wiklinę i jeżeli nie są ubite, zapadają ponownie, niekiedy jednak lecą na rzekę i giną na przeciwnym brzegu. Takie zaskoczone słonki wybijaliśmy co do jednej, dały się bowiem kilka razy gonić. Nigdy nie byłem uposażony majątkiem ziemskim nad rzekami, więc w takiem polowaniu nie mogłem nabyć większego doświadczenia, wiele wszakże słonek, polując w ten sposób, zabijałem u znajomych. Jednego dnia wystrzelałem wszystkie ładunki nad rzeką Świecą i powróciłem w południe do domu; drugi raz nad Wisłą roiły się słonki przez kilka dni, wreszcie przed trzema laty, po wylewie rzeki Stryja, nadleciała niedoobliczenia mnogość słonek na te świeże namuliska w Październiku. Znając tysiące morgów wiklinowych wszerz i wzdłuż Galicyi, uważałem za rzecz pożyteczną zwrócić uwagę kolegów myśliwych na te miejscowości, mogące dostarczyć wielkiej przyjemności i niemałego zapasu zdobyczy. Od kilku lat już płacą kupcy za słonkę po 1 złr. i chciwie ją kupują, więc polowanie na te ptaki nie tylko jest nader miłą rozrywką, ale może pokryć koszta polowania, a przy obfitym ciągu dostarczyć nawet dosyć znacznego dochodu, zawsze nader pożądanego. W tym roku otrzymałem za słonki 223 złr., a przy większej zabiegliwości i znaczniejszej liczbie strzelców z łatwością można było wysłać na sprzedaż 300 ptaków. Rozmyślnie podaję tu te uwagi i cyfry, aby przekonać o korzyściach polowania, opłacających sowicie trud szukania i szpiegowania słonek w czasie ciągów.

Jak już wspomniałem, ród ten ptaków ma licznych wrogów, prześladujących go zaciekle, szczególnie jastrząb-gołębiarz dziesiątkuje słonki i dopóki w lesie bawią, on ich nie opuści; również lis łowi ich wiele w czasie drzemki południowej, podkradając się zręcznie; inne też ssaki drapieżne i ptaki niszczą słonek krocie. Ginie też słonka w sposób u innych zwierząt nieznany i przez wiele ludzi zaprzeczony. Słonka ciągnie szybko, mając oczy osadzone na bokach tylnej głowy, nie dostrzega drutu telegraficznego, uderza głową czyli czołem o niego i pada trupem. Nie do uwierzenia to, jednak prawdziwe, przez budników kolejowych udowodnione, że na liniach jedynie galicyjskich kilset słonek rozbija się o druty telegraficzne. Ilość owych ofiar pomnoży się znacznie, gdy z gór zlatujące tłuc się będą o druty na podgórskich obecnie wybudowanych kolejach. Pomiędzy Lwowem a Brodami musi być ciąg z leśnych okolic nader liczny, bo na tej linii podnoszą budnicy często rano martwe słonki. Znałem jednego, który się chwalił podjęciem 7 czy 8 słonek w jesieni. Dowiadywałem się, czy na wiosnę znajdują słonki — zawsze odpowiadano mi przecząco, więc słonki widocznie w porze wiosennej nie lecą tłumnie i jedna drugiej nie napędza. Jest to niebezpieczeństwo dla słonek zupełnie wyjątkowe, a obejmując myślą przestrzenie europejskie zastawione drutami, łatwo sobie wyobrazić poważną liczbę marnie ginących ptaków, czemu niestety nikt zaradzić nie zdoła.

Znajdujemy często słonki w niewłaściwych miejscowościach, po miedzach, cierniach, chwastach, a nawet na gołem polu, są to wyjątkowe zapadania, spowodowane przypadkowemi przyczynami podczas ciągu i zaskoczeniem słonek przez światło dzienne słońca, które je zawsze zmusza do szukania na ziemi schronienia w skutek wrodzonej lękliwości i unikania miejscowych i wędrujących drapieżców. Podczas ciągu słonka mniej płochliwa, a ciekawa, w obec ruchu składającego się strzelca nie ulatuje i ledwie na kilka stóp się usuwa, na kolumnę dymu leci obces i okrąża ją, niemal co wieczór mówił mój furman o pojawianiu się słonek. Gdy ciągnie podczas jasnego wieczora, uderzy bez wahania na ciemną chustkę, podrzuconą w górę, w mniemaniu, że to ptak, lecz do takiego experymentu potrzebny jest ktoś, który przedmiot podrzuca, bo słonka poznawszy mistyfikacyę, nader spiesznie ulatuje, czem utrudnia strzał.

We Francyi wywodzi się prawdopodobnie wielka ilość słonek w górach Wogezów, Piryneów i Jurajskich, sądząc z ciągów, jakie widzimy niekiedy u stóp tych gór w jesieni. Zmyślni Francuzi wynaleźli nowy sposób polowania: przyczepiają wyżłom dzwonki i już się o nie nie troszczą, wysłuchując tylko głosu dzwonka, który gdy zamilknie, idą w to miejsce, ku stojącemu wyżłowi. Psy w stronach, gdzie polowałem, oryginalne i rozpowszechnione, zowią się *braques* i podobne są do gryfonów. Szerść dosyć długa, stercząca i ostra, nogi nieco krzywe, pazur tylny znaczący się długością, maść ciemna lub kasztanowato-srokata. Są wolne, posłuszne, z ostrym wiatrem, lecz dla oka wstrętne. Wówczas na podgórzu Wogezów nie wiele wprawdzie było słonek, ale pies zawsze przestawał dzwonić i Francuz biegł ku niemu. Do takiego polowania potrzebny dzwonek cichy, więc też słuch dobry, a miejscowość powinna być dogodna do strzelania.

Krocie sposobów wynajdywali ludzie do łowienia tych ptaków, większa ich część poszła w zapomnienie, przy udoskonaleniu palnej broni, niektóre dziś jeszcze praktykowane na wyspach i u nas przez chłopów i kłusowników, ale myśliwi europejscy polują tylko ze strzelbą. Koło Lipska jeszcze do r. 1830 zastawiano w czasie ciągu sieci podobne do płotek, używanych do łowienia kuropatw, z szerokiemi oczkami, a z tyłu drugą sieć nieco wiszącą, z cieńszego szpagatu. Czy w jesieni łowiono słonki, tego wiedzieć nie mogę, lecz zastawiano sieci po zrębach na wiosnę. Aparat to wymagający kilku pracowników, bo sieci są na dwa sążnie wysokie, stawiane na drążkach po nad krzakami, w nocy zbieranie, odnoszenie, często i przemoczenie, następnie suszenie, czyniło tę pracę niewdzięczną, dla złowienia jednej lub dwóch słonek ciągnących. Gdzie w jesieni gęsto zapadają słonki, można je łowić na płotki, przeznaczone do łapania kuropatw, jeżeli się na poprzek przestawi siatki przez miot lub na zboczy, ale sznurki muszą być grubsze, bo ptak rzutny i silny potarga słabsze siatki.

Sposobem nader prostym i łatwym, praktykowanym przez naszych kłusowników na znacznych przestrzeniach, jest łowienie słonek na sidła, podobne do używanych na kosy i drozdy. Na kabłąku, którego dwa końce wbite są w ziemię, wisi w środku oczko (pętelka), zwane kółką, gdy ptak wsadzi głowę w oczko i poruszy się, ściąga się kółka, ściska mu szyję i dusi. Słonka chodzi zawsze ze spuszczonym dzióbem ku ziemi, sidełko z włosia musi zatem samej ziemi dosięgać, gdyby wyżej wisiało, toby ptak pod sidłem przełaził. Włosie powinno być we dwoje skręcone, aby utrzymać trzepiącego się przy skonie ptaka. Jeżeli linia od końca do końca jest takimi kabłąkami zastawiona, a w miocie są słonki, to z pewnością znaczna ich część zawiśnie w sidłach,

oraz można złowić wiele kosów, drozdów nieustannie skaczących i kuropatw, jeżeli są w krzakach. Należy raz lub dwa razy na dzień przejrzeć sidła i wyjąć złowione ptaki, aby ich drapieżniki nie pochwyciły, najważniejszy zaś dozór nad ranem, gdyż przed wieczorem łaziły słonki za żerem i wychodziły z krzaków. Znałem kilka takich miejscowości, w których można było złowić na dobę kilkanaście ptaków, gdyż w miocie rozległym na 20 morgów bywało po 40 do 50 słonek, wolałem je jednak strzelać i nigdy nie zastawiałem zdradzieckich sideł, ani zastawiać ich pozwalałem.

Już to utarte i rozpowszechnione zdanie o starcach, chwalących przeszłość, w której oni byli młodzi i dobrze im się działo na tym Bożym świecie, więc i mnie spotkać może ten zarzut, przyjmę go z pokorą, ale będę się starał udowodnić, że w niektórych kierunkach nasze myśliwstwo nie doznaje odpowiedniej pomocy. Gdzie dziś szukać górali i huculów, znających każdy przesmyk zwierza, jego lęgowiska i barłogi, tokowania kniejotków, przeloty i ciągi słonek, miejsca żerowania i stanowiska na wychodnego zwierza? Gdzie się podziali ci, co za pół cwancygiera, z kwaterką mąki kukurudzianej lub z plackiem owsianym w zapasie, śledzili zwierza od wschodu do zachodu słońca i z pewnością go wypatrzyli? Gdzie są ci sławni kłusownicy, którzy stępami łowili niedźwiedzia, drutami sarny, żelazami drapieżne ssaki, sidłami grzebiące ptaki, w zimie zaś krocie kwiczołów, co zawsze z podziwieniem badałem? Gdzie są ci geniusze leśni, śledzący kuny, odbywający istne podróże leśne, nie schodząc na ziemię i po trudach kilkugodzinnych łowili je psami — sztuka zaiste zdumiewająca! Albo ci, którzy wabieniem sprowadzali mi pod nogi lisy i na strzał wilki, co znali barłogi dzików, wyśledzali gawrujące niedźwiedzie? Na zawołanie stawało takich artystów kilku do wyboru i oddawali się do dyspozycyi, przyjmując nagrodę dopiero po złożeniu dowodów sumiennej i praktycznej pracy. Wtedy to strzelba była w rękach niewielu, strzelano z pistoletów lub rusznic szpagatem powiązanych i przez miejscowego kowala polutowanych, potrzeba więc, ta matka wynalazków, wytworzyła liczne sposoby łowienia ptaków i zwierząt, już to dla zysku, już dla bezpieczeństwa. Nie tu miejsce do opisu różnych łapek i sideł, więc opiszę jedynie nader tani, prosty i łatwy sposób, używany do łowienia słonek na ciągu jesiennym. Przebiegły kłusownik poznał dokładnie życie i zwyczaje słonki, podpatrzył, że ona nigdy nie skacze i przez żaden przedmiot nie przeskoczy, lecz obchodzi go, więc postanowił, iż wypada jej drogę zagrodzić. Wyśledziwszy spasane bydłem ubocze gór i pagórków, licznie przez słonki obsiadłych, począł grodzić płotki na wysokość jednej stopy, a co 15 lub 20 kroków wycinał siekierą kwadratowe miejsce, na stopę wysokie i tyleż szerokie, tam zawieszał dwa włosienne sidełka i taki płotek prowadził aż do szczytu góry. Żerujące słonki przyszedłszy do płotu, niczem zbyt się nie różniącego, zrekognoskowawszy dokładnie i z uwagą, idą powzdłuż płotu, a ujrzawszy otwór, spieszą się dostać na drugą stronę i zawieszają głowy na sidłach. Sposób to niezawodzący, gdzie żerują słonki. Ci ludzie opowiadali mi o wyjmowaniu rankami kilku i kilkunastu ptaków. Niejeden z czytelników rzuci moją ramotkę, wołając z oburzeniem: „Dzięki Bogu, że ci ludzie wymarli"! Oparty na długoletniem doświadczeniu, studyowałem owych prostaczków, rozbudzających nigdy niezaspokojoną ciekawość; potępiam bezwzględnie kłusownictwo i przypuszczam, że ta szkoła myśliwych byłaby się dała utrzymać za znacznem, unormowanem wynagrodzeniem. W tych prostaczkach odkrywałem ogrom wiedzy, opartej na pewnikach niezbitych, przekazywanej z ojca na syna, często ich twierdzenie sprawdzałem i przekonywałem się o nieomylności tych ludzi. Dodać tu należy wrodzoną ciekawość, talent badania, niezmordowane poświęcenie, a będą to typy, jakich już nie ma między nami.

W niektórych miejscowościach bywają po zebraniu siana spasione łąki, zarośnięte gęstemi łozinami, kępy wilgotne, w których często chroni się bydło przed dokuczliwymi owadami, gdy tam zapadają słonki, tworzy się rajska rozkosz dla myśliwego. Pies staje przed krzakiem, a słonka żadnym pręcikiem nie zasłoniona, pojawia się w całej swej postaci. Spostrzegłszy w koło otwarte pole, myśliwego i legawca, zatrwożona zatrzymuje się przez chwilkę w powietrzu i daje nader łatwy strzał, lub też bez strzału kryje się w drugiej kępie, nie mając odwagi lotem dążyć do lasu. Przypominam sobie dzień, w którym we trzech ubiliśmy przeszło 30 słonek, zapadających nieustannie po łozach. Z początku moi towarzysze nie wierzyli, iżby słonki w tych miejscowościach przebywać mogły i byli pewni, że psy wystawiają kurki i chruściele, a w końcu tak byli tem polowaniem zachwyceni, że po zachodzie słońca jeszcze słonek szukali. Przywiedzione tu przykłady służyć mogą myśliwym jako dyrektywa w szukaniu tych ponętnych ptaków podczas posuchy.

(Dokończenie nastąpi).

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

ZAJĄC

PRZEZ

KAZIMIERZA REMISZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Zmysły wszystkie, z wyjątkiem może wzroku, ma doskonałe. Wietrzy bardzo dobrze, a słyszy jeszcze lepiej. Słuch swój wyborny zawdzięcza szczególnie osobliwej budowie ucha, owemu przewodowi rurkowatemu, zwróconemu ku tyłowi, a prowadzącemu do przewodu właściwego, umieszczonego w kości twardej *(os petrosum).* Chód myśliwego posłyszy na odległość do 400 kroków, często bowiem na gołoledzi pomyka na tę odległość. Podczas ubywania księżyca, t. j. od pełni do nowiu, dosiaduje zając twardo, od nowiu zaś do pełni pomyka już na 200 do 300 kroków.

*

W ogóle w porze ciepłej bez wiatru i deszczu lepiej wytrzymuje, najgorzej zaś gdy mróz ostry, a osobliwie gołoledź nie dozwala mu wygrzebać świeżej kotliny. Przesiadując w lecie w zbożach, robi sobie formalne proste ścieżynki, wystrzygując źdźbła zbożowe tuż przy ziemi. Ścieżynkami temi wychodzi na żer wieczorem i wraca rano napowrót do kotliny, ułatwiają mu one również ucieczkę w razie niebezpieczeństwa. Od połowy nowiu do połowy pierwszej kwadry pomyka zwykle zając nie przed szukającym go myśliwym, lecz dopiero wtedy, gdy go tenże minie. Młodzik ruszony przez psy, nie oddala się od miejsca, lecz składa krótko, często przycupując, stary zaś pomyka w prostej linii i zakreśliwszy wielkie koło, wraca w przeciwnym kierunku do miejsca. Zając leśny trzyma się wiernie przesmyków, którymi w pole wychodzi. W zimie przesmyki te ubite jak ścieżki.

Twierdzenie, jakoby zając wody nie pijał, jest mylnem. W zajęczarniach widzi się często zające wodę pijące, na wolności nie tak łatwo fakt ten sprawdzić, zapewniają jednak wiarygodni myśliwi, iż osobliwie po skwarnych dniach zając nie ogranicza się tylko na rosie, lecz pije wodę z potoków, źródełek, kałuży etc., etc.

Lizawki dla sarn robione chętnie odwidzają zające, widocznie sól organizmowi ich służy. Głos zająca powszechnie znany; dopadnięty przez psy, lub postrzelony tak, że dalej się ucieczką ratować nie może, kniazi. Podczas parkotni samica wabi gacha mruczeniem, podobnem do warczenia szybko obracanego wrzeciona, do ssania zwołuje samica młode, klaszcząc słuchami.

Starego zająca trudno bardzo oswoić, młody zaś z łatwością daje się wychować mlekiem i bułkami. W niewoli zmienia do pewnego stopnia naturę. Będąc w szkołach we Lwowie, miałem zająca, który nadewszystko lubił kotlety, kawę i piwo. Podczas obiadu naprzykrzał się, wyskakując na stół i chlepiąc z talerza rosół. Zmianę pogody przepowiadał lepiej niż barometr, uganiając całą noc. Osobliwie niespokojny był podczas pełni; codzień chętnie siadał na oknie i raz przez otwarty lufcik wyskoczył na ulicę. Opadły go wnet psy, między tymi dwa jamniki i pogoniły głosem aż do stajni ks. Dominikanów, gdzie wcisnąwszy się pod paki z owsem, bezpieczne znalazł ukrycie. W Lutym, gdy nadszedł czas parkotni, rozbestwił się do tego stopnia, że chwytał obecnych za nogi, napastował nawet kota, szczególnie wypchanego zająca, który stał na stoliku. Przy tej sposobności zbił lustro, a gdy mi do tego pogryzł obuwie i poduszki podarł, kazałem go zabić. Młode dadzą się wyuczyć wielu sztuczek, jak bębnienia; we Lwowie widziałem w koszarach artyleryi zająca aportującego.

N i e p r z y j c i e l e i c h o r o b y. Żadne inne stworzenie nie ma tyle wrogów, co nasz biedny szarak. Pomijając rysia i wilka, jest lis jego największym wrogiem, równie niebezpiecznym w każdej porze roku. W Maju i Czerwcu młode swoje żywi ten rabuś przeważnie zajączkami, w zimie zaś na głębokim, sypkim śniegu weźmie bez trudu każdego zająca. Biorąc na uwagę żarłoczność lisa, jego nigdy niezaspokojony apetyt, nie trudno obliczyć, jaką szkodę jeden tylko lis przez rok w zającach wyrządza. Twierdzą niektórzy przyrodnicy, że nie musi być lis tak strasznym wrogiem zająca, skoro w niektórych okolicach obok znacznej ilości lisów wiele także żyje zajęcy. Tak n. p. powiada, jeżeli się nie mylę, Brehm, że w Afryce północnej, na stokach Atlasu, żyje bardzo wiele zajęcy, mimo znacznej ilości lisów. Lis jednak afrykański, t. j. fenek, ma się do naszego, jak powiada p. hr. Starzeński, jak bretnal do szpilki. Żywi się on chrząszczami, szarańczą, co najwięcej jakiemu ptaszkowi lub myszy może być niebezpieczny, nasz zaś lis tępi zające, a niemieccy myśliwi twierdzą, iż w dobrych, w zające bogatych rewirach, jeden lis jest w stanie na rok 53 zajęcy zniszczyć. Tam też, t. j. w Niemczech, Czechach i t. p., skoro się lis pokaże, prześladują go na ponowie w rewirze, dopóki futrem łotrostw swoich nie opłaci. U nas lisem opiekuje się ustawa, naznaczając mu czas ochrony przez $6^1/_2$ miesięcy! Wielu znakomitych zresztą myśliwych nie pozwala w swoich rewirach tępić lisa dla emocyi, jaką tenże sprawia na polowaniach. Bez wątpienia z większą się pasyą strzela lisa jak zająca, ale nie uwzględniają ci myśliwi, że lis mimo największych usiłowań nigdy wytępić się nie da, z drugiej zaś strony szkody, jakie wyrządza w zwierzostanie, mordując zające, kuropatwy i sarniątka, są tak znaczne, że nie powinien być cierpiany.

Szkodliwym także jest żbik. Na szczęście jest on na równinach rzadkim gościem, a w górach nie ma wiele zajęcy. Zastępuje go u nas godnie kot domowy, który nietylko dla młodych, ale i starych zajęcy jest niebezpieczny.

Z łasicowatych obie kuny i tchórz nie często mają sposobność spotkać się z zającem, za to łasica, t. j. łasica zwykła i gronostaj wiele bardzo wyrządzają szkody. Staremu zającowi wskakuje łasica na kark, przegryza tętnicę wysysając krew i wtedy zając bez ratunku zgubiony. W r. 1881 zajęty byłem w lesie oddawaniem kupcowi sosnowych progów i belków; dzień był skwarny, to też leśni zajęci cechowaniem wyrobionego towaru, odłożyli strzelby, które im ciężyły i zawadzały. Po kilkugodzinnem zajęciu usiedliśmy w cieniu, aby chwilę wypocząć. W tem ujrzałem, jak po belku oprawnym, leżącym od nas o kilkadziesiąt kroków, łasica ciągnęła zajączka zagryzionego, który co najmniej dwa razy od niej był większy. Rzuciłem cechówką, chcąc szkodnika ukarać, nie udało mi się jednak trafić. Łasica skryła się w trzaskach, za chwilę jednak powróciła do swej ofiary. Posłałem leśnego po strzelbę, którą tenże opodal zawiesił na sośnie, a nim leśny w dobry kwadrans ze strzelbą powrócił, jeszcze sześć razy łasicę musiałem odpędzać. Wróciła ona raz jeszcze, ale tym razem nie minęła ją zasłużona nagroda. Zajączek, oprócz małej ranki na karku, nie miał innego obrażenia.

Nawet borsuk ma zdaniem wielu myśliwych zjadać małe zajączki, a wiele ich ginie przez dziki. W czasie kotelnicy szkodliwe są bardzo psy włóczące się po polach, które na sypkim, głębokim śniegu, lub w czasie, gdy zając twardo dosiaduje, nawet stare zające chwytają.

Z ptactwa najszkodliwszym jest puhacz *(bubo maximus)*, który młodym 2 i 3 zające przez noc donosi. Inne sowy mniejszego są znaczenia, z wyjątkiem chyba sowy jarzębatej *(strix ulula, nisoria)* (u nas rzadkiej), sowy dziennej czyli uralskiej *(Uralische Tageeule, strix uralensis Pall)*. Młode zajączki bierze czasem puhacz uszaty *(otus vulgaris, Mittlere Ohreule)*. Oprócz sów szkodliwe są jastrząb-gołębiarz *(astur palumbarius)*, krogulec *(astur nisus)*, kania wielka *(milvus regalis)*, szulak *(circus pygargus Cuv.)* i rozmaite większe sokoły, które nie tyle dla wyrośniętych, ile raczej dla młodych lub postrzelonych są niebezpieczne. Zdarza się jednak, że jastrząb zdrowego starego zająca weźmie. Mniej szkodliwe są myszołowy, jakkolwiek i one,

t. j. myszołów zwykły (*buteo vulgaris*) nie pogardzą pewnie zajączkiem małym, skoro go znajdą. Będąc studentem polowałem raz na przepiórki, w braku innego psa z pokurczem jamnika i wyżła. Psina ta służyła mi od biedy, goniła tylko zapamiętale zające długo i rączo. Otóż spostrzegłem na obszernej ścierni dwa myszołowy, bijące na zająca dużego, który pewnie długo już był prześladowany, przysiadał bowiem co chwila. Suczyna moja wpadła na trop i wnet nawróciła zająca na mnie, którego też dobiłem. Oprócz broku, którym strzelałem, miał zając także oko jedno skaleczone i wiele szramów i ran na głowie. Oprócz tych uszkodzeń nie znalazłem żadnych innych, widocznie więc myszołowy zdrowego napadły zająca.

Nierównie bardziej szkodliwym jest kruk. Zcharakteryzował go doskonale hrabia K. Wodzicki w zapiskach ornitologicznych, tam też ciekawych odsyłam. Wiele młodych ginie od gawronów (*corvus frugilegus*, *Saatkrähe*), wron, srok, bocianów, czapli, a nawet i od sojek.

Przeciw tym szkodnikom może myśliwy zaradzić, tępiąc je starannie, natomiast bezsilnym jest wobec daleko groźniejszej klęski, jakiej doznać mogą zające przez zanadto mroźną, lub za łagodną zimę. W zimie mroźnej, osobliwie jeśli śnieg długi czas pokryty skorupą, ginie wiele zajęcy ze zimna i głodu, w nadto łagodnej zaś, za prędko przypada kotelnica i wtedy nie uchowa się pierwszy rzut, gdyż zwykle po łagodnej zimie następuje mroźna, śnieżysta wiosna i długotrwałe słoty.

Najgroźniejszym wrogiem zająca jest człowiek. Nie tyle może pastuszki, wybierający młode i kłusownicy, strzelający i łowiący zające na sidła, jak raczej ci właściciele obszarów łownych, których cała znajomość myśliwstwa ogranicza się na tem, aby bez względu na porę jak najwięcej zajęcy ubić, a dalej już o zwierzostan się nie troszczą. Na kłusownika jest paragraf, na takich zaś pseudomyśliwych nie ma niestety paragrafu, któryby ich zmusił do prowadzenia racyonalnego gospodarstwa łowieckiego!

Trapią też zająca pasożyty i choroby. Na skórze zająca żyje wesz i świerzb, w trzewiach zaś wnętrzaki (*trichnoides*). Na wątrobie zająca żyje bąblowiec (*cysticercus pisiformis*), jest to forma przechodowa tasiemca psiego (*taenia serrata*), tak jak bąblowiec na mózgu u owiec, powodujący jak wiadomo chorobę wartogłów. Robak ten żyje w pęcherzu, napełnionym cieczą wodnistą, która w miarę dojrzałości bąblowca gęstnieje. Wykształcony bąblowiec przebija się przez trzewia i muszkuły na zewnątrz, powodując wrzody, które niewłaściwie nazwano ospą zajęczą. Oprócz bąblowca żyje w trzewiach zająca tasiemiec (*pentastoma taenioides*). Dla ludzi nie jest niebezpiecznem spożywanie mięsa zająca, który cierpi na trychiny (t. j. w tym okresie, kiedy bąblowiec wydobywa się na zewnątrz), gdyż one w człowieku na solitera się nie przekształcają, psy zaś, któreby zjadły n. p. surową wątrobę zajęczą, pokrytą pęcherzami, dostają tasiemca (*taenia serrata*).

Podczas mokrej wiosny ginie wiele zajęcy na biegunkę i motylicę. Obie te słabości mają zdaje się źródło w mokrej, zepsutej paszy, osobliwie zgniłego rzepaku.

P o ż y t e k i s z k o d y. Pożytecznym jest zając, dając bardzo pożywne i smaczne mięso, tudzież futro (smużek). Pożytek ten, w znaczeniu ekonomicznem, nie powinien być lekceważonym, gdyż wynosi średnio, n. p. w Czechach, rocznie około 31.000 cetnarów mięsa; reprezentuje wraz ze skórkami wartość okrągło 550.00 złr. W Morawii dochodzi wartość ubitych co roku zajęcy średnio do 200.000 złr. Skórki wyprawiają na futra, turzycy zaś używa się do wyrobu pilśni kapeluszowej i przędzy na rękawiczki, pończochy, spodnie etc. Ze skórek zajęczych robią również prześcieradła przeciw odleżeniu w długotrwałych chorobach, tudzież bandaże do owijania członków dotkniętych podagrą lub reumatyzmem; wygarbowanych używają do wyrobu lekkiego obuwia, towarów galanteryjnych i t. d. Skrom zajęczy znajduje spożytkowanie w farmakopei.

Szkody przez zające wyrządzane nie są znaczne, w każdym zaś razie mniejsze jak pożytek. Dadzą się one uczuć tylko w tych okolicach, w których zając nad miarę się rozmnoży. Spasaniem oziminy i jarej runi zbożowej nie wyrządza zając żadnej szkody, gdyż dzieje się to tylko tak długo, dopóki źdźbło nie zawiązuje kolanek, a więc spasiona odrasta bez umniejszenia przyszłego plonu w ziarnie.

Natomiast dość znaczne są czasami szkody przez zające zrządzane w kapustach i burakach tak, że nieraz plantacyę trzeba uzupełniać nadsadzaniem nowych flanców. W zimie zawalnej, skoro skorupa śnieg pokryje, a zajęcy się nie karmi, ogryzają one korę szczepów i strzygą naloty grabowe i bukowe. Szczepy łatwo ochronić obwiązywaniem słomą i smarowaniem gliną, co zresztą często bardzo i w innych celach, a mianowicie przeciw wymarzaniu uskutecznia się. Z dobrym skutkiem używa się następujących środków zaradczych:

1. Mięsza się dobrze glinę zwykłą, rozrobioną wodą, na gęste błoto, ze siarką i smaruje pieńki szczepów na $1\frac{1}{2}$ cala grubą warstwą, na wysokości 2 łokci od ziemi.

2. Naokoło drzewka, na szerokość 2 do 3 stóp, wywozi się świeże odchody ludzkie.

3. Smarowidłem złożonem z 3 części tranu, 3 części smalcu i 1 części teru, smaruje się patyczki, obstawiając nimi dokoła zabezpieczyć się mające drzewko.

4. Z prochu startego na mąkę i łoju robi się maść, którą się smaruje pręty łozowe. Pręty wtyka się obu końcami w ziemię, jeden obok drugiego, przez co utworzy się rodzaj płotku, jakiego używają do upiększenia kląbów. Smarowanie odnawiać należy co 2 miesiące.

5. Smarować drzewka cenne sadłem lisiem tuż przy ziemi na 4 cale szerokim pierścieniem.

6. Obstawiać drzewka gałęziami świerkowemi lub jodłowemi, które odarte z kory kilka dni w kominie się wędziły.

Środków takich, zalecanych przez myśliwych i ogrodników, jest bardzo wiele i każdy jest dobry. Zasadzają się one na tem, aby drzewko posmarować cuchnącym pokostem, nie prędko tracącym niemiłą woń i nie ulegającym spłukaniu przez deszcze. Takim środkiem jest gęsty ter ponaftowy, który w porze zimnej dobrze do kory przylega. Tymże sposobem, t. j. wtykaniem co kilkanaście kroków odwietrzonych prętów lub płatków płóciennych, namoczonych w jakimś cuchnącym rozczynie, n. p. kreozocie, asafetydzie, mazi naftowej i t. p. Szkodliwie także wystąpić może zając w młodnikach leśnych przez ogryzanie kory i strzyżenie pędów. O tem pisze prof. Dr. Althum w dziele „*Die Forstzoologie*“ jak następuje: „Jeżeli zającowi w zimie staną się niedostępne te rośliny, które stanowią jego główne pożywienie, jeśli nadto głęboki śnieg pokrywa pola, chwyta się on zarośli drzewnej. Należy tu rozróżnić od strzyżenia pędów ogryzanie kory. W pierwszym wypadku odcina pączki i najmłodsze pędy buków, grabów, wiązów,

osik, klonów, leszczyny, jesionów, dębów, miotłówca, aby je spożyć. Odchody jego, które zawsze wtedy rozrzucone obok tak uszkodzonej rośliny leżą, składają się tylko z delikatnych włókien drzewnych. Od takich odchodów zimowych z łatwością dadzą się odróżnić odchody letnie. Powierzchnia cięcia, powstała przez odgryzienie pędu, jest ukośna i tak gładka, jak gdyby była ostrym nożem zrobiona, poczem łatwo odróżnić uszkodzenia, przez zające dokonane, od uszkodzeń przez sarny i jelenie, gdyż te odgryzając pędy pozostawiają powierzchnię cięcia nierówną, o brzegach poszarpanych.

Najbardziej cierpią w ten sposób buki, graby i jesiony. Zając żeruje w nocy, jak to łatwo skonstatować na ponowie, na małej przestrzeni i spasa za porządkiem wszystko co znajdzie, gałązki zaś odcina także wtedy, jeśli mu na przesmykach zawadzają i czyni to w każdej porze. Do tej kategoryi zaliczyć wypada odcinanie sosnowych i świerkowych gałązek w kulturach, gałązki zaś akacyowe odcina dla kory, która jest jego ulubionym żerem.

2. Różnem od strzyżenia jest ogryzanie przez zające kory, czyli t. z. spałowanie. Objawiają się te szkody rozmaicie, według tego, w jaki sposób i na jakich gatunkach drzew powstają. Z drzew wybiera zając zdaje się tylko te, których kora w kierunku wysokości drzewa łatwo da się obłupać, więc przedewszystkiem akacyę. Jeśli i drobne krzewy ogrodowe uwzględniać chcemy, rywalizują z akacyą szczodrzeniec i róża. Następnie ogryza korę szczepów owocowych, tarniny; dęby rzadko narusza.

3. Trzeci rodzaj uszkodzenia raz jeden tylko skonstatowałem, w tutejszym rewirze Liepe uszkodził zając talerzowy siew żołędzi w ten sposób, iż wygrzebał i pozjadał żołądź. Jakkolwiek wypadek podobny nader rzadko może się zdarzyć, wspominam o nim, aby w danym razie ułatwić wykrycie winowajcy, gdyby się szkoda taka okazać miała“.

„Uderzającem jest, że na mocno nawet ostrzyżonym buku, grabie lub innem leśnem drzewie, nie zdarzy się nigdy spostrzedz ogryzienie kory, t. j. spałowanie, podczas gdy akacyę jak gdyby ze swawoli, szczodrzeniec zaś i różę, tudzież szczepy owocowe w młodości ich, nie strzyże lecz tylko spałuje. Dęby uszkadza w jeden i drugi sposób nader rzadko“.

„Jako środek zaradczy poleca się obwiązywanie drzewek słomą i cierniem, a szkółki drzew owocowych i leśnych, tudzież młodsze kultury należy stosownem zaopatrzeć ogrodzeniem, lub też przez uprawę cierni *(prunus spinosa* i *pr. insistitia*, tudzież *ligustrum vulgare)* odwróci zająca od drzewek szlachetnych. W lesie środki te naturalnie użyć się nie dadzą i nie pozostaje nic innego, jak wystrzelać zające, chcąc zagajenia od szkód ochronić. Czy zalecane powszechnie smarowanie drzewek słoniną pomaga, nie wiem z własnego doświadczenia. W nowszych czasach polecają skuteczne smarowidło, składające się z 8 części nieświeżej krwi bydlęcej, do której dodaje się $1/4$ funta rozpuszczonej w ciepłej wodzie *assa foetida*, tudzież nieco krowieńca. Mięszaninę tę pozostawia się jeden dzień przed użyciem, a w dniu następnym pociąga pędzlem pieńki zagrożonych drzewek. Młodniki bukowe naturalnie w ten sposób uchronić się nie dadzą, ale do ochronienia akacyi, tudzież owocowych drzewek, środek ten jako bardzo skuteczny, zaleconym być może“. (Ciąg dalszy nastąpi).

O PRZYBITKACH

przez

A. R.

Zadziwi to może niejednego z szan. czytelników, że tak błahej rzeczy, jak przybitkom, poświęcam niniejszą rozprawkę. Mało stosunkowo myśliwych zwraca szczególniejszą uwagę na jakość i odpowiednie zastosowanie przybitki; wielu utrzymuje, że byle strzelba była dobrą, a nabój nie za mały, to i liście za przybitkę użyte, należycie ją zastąpią. Spodziewam się jednak, że może zdołam baczniejszą zwrócić uwagę na ten dotychczas dość lekceważony przedmiot. Od paru lat zajmuję się tą kwestyą, a skromne doświadczenia, których część w dalszym toku podam, były podstawą teoretycznych badań w tym kierunku.

Broń myśliwska teraźniejsza bezsprzecznie stoi na bardzo wysokim stopniu rozwoju, zawdzięczyć to musimy naukom, które i tu dobroczynne owoce wydały. Pierwsza broń odtylcowa uległa znacznym zmianom, powstały różne systemy, sposoby zamykania, odejmowania luf od łoża itp. W ogóle miano na uwadze przy tych ulepszeniach łatwość i dogodność zastosowania w praktyce skomplikowanego mechanizmu. Prąd modny, niemniej jednak uzasadniony, owładnął sferę myśliwych, ozdobne wykonanie lub oryginalne kształty, a przytem zawsze świeży jakiś dodatek, albo zmiana w mechanizmie, nęciły ku sobie kupującego. Liczne firmy, świeżo powstałe szczególnie, korzystały z tego, zaopatrując nabywających w broń, z powierzchowności piękną, a w użyciu wygodną, nie dającą jednak w stosunkowo wielu wypadkach wewnętrznem wykończeniem luf rękojmi dobrego strzału. Lśniąca i na pozór gładka powierzchnia wzbudzały zaufanie, nie pozwalając przypuszczać, iżby mimo tego pozoru lufy mogły być wadliwemi, a spiralne wiercenie i powłoka grafitu są maską, pokrywającą słabe strony. Firmy rzetelne za znaczniejszą cenę rzeczywiście dobrą broń produkowały, egzemplarze jednak takie są stosunkowo nieliczne, a przeważna liczba używających broń, posiada ją za ceny średnie, niemniej jednak wystarczające, aby od kupna pożądanych własności wymagać można. W rzeczywistości jednakowoż wymagania te wyjątkowo w zupełności realizują się, a szczególnie odnośnie do strzału. Wiadomo, że przy sporządzeniu strzelby najmozolniejszą i najwięcej fachowego wykształcenia wymagającą czynnością jest wykończenie wnętrza luf. Pierwotne wiercenie cylindrowe, jeżeli jest prawidłowo zastosowane, t. j. sumiennie odrobione, nadaje się dla celów myśliwskich znakomicie. W praktyce jednak takie idealne lufy cylindrowe są rzadkie, znaczna część ich bowiem mniej lub więcej od tego ideału odstępuje, a następstwem tego jest naturalnie względnej dobroci rezultat strzału. Nie zastana-

wiając się nad tem, zaczęto szukać przyczyny złego i znaleziono ją w wierceniu cylindrowem, które rzekomo ma nieodpowiadać celom. Zarzut taki, o ile dotyczy samego wiercenia, jest zupełnie nieuzasadnionym, w zupełności jednak odnosi się do tegoż odrobienia w zastósowaniu. Ogół myśliwych obznajomiony już z nowością systemów, większą uwagę zwracać zaczął na realną wartość przedmiotu, nastąpić więc musiało przesilenie w sztuce rusznikarskiej. Jak wspomniałem, nie przypisano winy swej nieudolności. Rzucono się do modyfikacyi pierwotnej formy cylindrowej. Nie mam prawa twierdzić, ażeby powstałe w ten sposób odmiany nie miały wartości, okazało się bowiem, że faktycznie niektóre z tych ulepszeń usunęły po części pojedyncze wpływy, działające szkodliwie na strzał, przyczyniając się tem do lepszego rezultatu. Lecz cel ten osiągnęły one, zastosowane w broni, sumiennie i ze znajomością rzeczy. Inaczej jednak przedstawia się to w broni, t. zw. średnich cen. U tej ulepszenia te są przeważnie tylko piękną nazwą, zastosowaną ze szkodą wykończenia wewnętrznego, są złem tem większem, że pod pozorem poprawy ujmę przynoszą pierwotnemu cylindrowemu wierceniu. Któż z szan. czytelników nie miał sposobności jeżeli nie posiadać, to podziwiać przynajmniej w rękach innych owe chokebohry, strzelby o wierceniu konicznem i t. d., strzelające miernie, lub wcale źle. Czyż więc tak zastosowane wynalazki przynoszą właściwą korzyść? Dzisiaj przeważnie są one u takich strzelb wabikiem, na który łowią się niedoświadczeni. Nie dziw, że i tu przesilenie nastąpić musiało. I widzimy w istocie, że oglądnięto się na inny czynnik, szukając w nim przyczyny złego. Poprawiać i zmieniać zaczęto naboje i przybitki do tychże, powstały łuski nabojowe „Bartscha“, mające nadać *brandtu* pociskowi, naboje metalowe o rozmaitej wytrzymałości i zapale zapewnić mają ostrość i gęstość strzału, wreszcie śrót zwyczajny zastąpiono hartowanym, który ma zwierza śmiertelniej ranić, a owe sposoby, zabezpieczające śrót od rozrzucenia, jak s i a t k i d r u c i a n e i t. p., czyż to nie chorobliwy objaw spaczonego kierunku?

Streszczając ten króciuchny rys przeszłości i teraźniejszości rozwoju i udoskonalenia broni, możemy powiedzieć, że w jednym kierunku dalekośmy zaszli, lecz w drugim żółwim postępujemy krokiem. Posiadamy broń praktyczną, pięknie wykończoną, lecz czy prawdziwie dobrą? Na pytanie to niechaj ogół myśliwych odpowie, wyjątki tu nie mogą rozstrzygać. Kreśląc te słowa mam na myśli przeważnie broń gładką, systemu centralnego (Lancaster), system Lefaucheux bowiem, jak i Dreisego, wychodzi powoli z użycia, a Tesznerówki, wyrabiane przez dłuższy czas wyłącznie u wynalazcy, mało podległy zmianom od pierwowzoru, wykończenie ich prawie jednakowo dobre u wszystkich exemplarzy, starannie wypracowane wnętrze luf nie domagały się w praktyce ulepszeń i gdyby nie organiczne wady, miałaby więcej zwolenników broń tego systemu. Obecnie przyznać trzeba, że nie ma ona przed sobą przyszłości. Przeciętnie biorąc, na dziesięć Lankastrówek przypada jedna Tesznerówka, obowiązkiem więc moim jest traktować przedmiot ze względu na większość. Bo też ta większość smutny stan przedstawia. Przypomnij sobie szan. czytelniku jakiekolwiek polowanie, na którem większa liczba myśliwych udział brała. Jaka to ilość zwierzyny postrzelonej, ile nie mogącej skończyć, dawała świadectwo dobroci naszej broni, lub stosownego nabijania jej? Nie dziwiłem się wcale czytając już nie pomnę w którym numerze „Łowca“ w dziale „kronika“, że nie ma lichszych strzelb jak Lankastrówki. Gdzie między exemplarzami, wyprodukowanymi przez najrozmaitsze warstaty rusznikarskie, są takie znaczne wahania się, bo od kilkunastu do kilku set złr., zbyt wielka istnieć musi różnica, by przypuścić można, że strzelby te podobnej bodaj były jakości i dawały jednakową rękojmię dobrego strzału. Gdy weźmiemy przytem na uwagę, że i między drogiemi strzelbami są też liche pod względem wewnętrznego wykończenia luf, a więc i strzału, skonstatujemy stosunkowo bardzo mały procent prawdziwie dobrych exemplarzy w rękach myśliwych.

Cóż może być ostatecznie przyczyną złego? Nasuwają się trzy czynniki, mogące rozwiązać tę kwestyę, t. j. system, jakość i wykończenie luf, oraz jakość zastosowanych nabojów. Omówienie trzech tych działów niewątpliwie byłoby bardzo ważnem. Co się tyczy systemu, ten wyczerpująco jest znanym, w praktyce okazał się najodpowiedniejszym i znieść potrafi każdą krytykę, dyskusyi więc nie podlega. Inaczej rzecz się ma z punktem drugim. Jest to rana nie zagojona i przynosi ustawicznie szkodę organizmowi. Niezagojona, gdyż traktowana dotąd pobieżnie, a będąc najważniejszą przyczyną złego, zasługiwałaby na baczniejszą uwagę. Zebranie sumienne czynionych doświadczeń, jak wpływa na strzał rodzaj materyału, długość luf, a przedewszystkiem sposób wiercenia, nieocenioną miałoby wartość dla ogółu myśliwych. Przytem podanie wyczerpujących praktycznych wskazówek, któreby kierowały przy nabywaniu broni, stan dzisiejszy poprawiłoby bezsprzecznie. Zatytułowanie niniejszej rozprawki nie dozwala mi omówienia tych tematów; praca taka musiałaby być wyczerpującą pod względem teoryi i rezultatów praktycznych, gdybym zaś połowicznie przedmiot ten traktował, rozminąłbym się z celem i zasadzie mej pod tym względem sprzeciwił. Pozostaje ostatni punkt, t. j. kwestya nabojów. Rozdzielić ją muszę na osobne działy, ze względu na oddzielne funkcye części składowych. Pierwszą grupę stanowią czynniki główne, t. j. proch i śrót, drugą czynniki pomocnicze, t. j. łuski nabojowe i przybitki, oraz czynność zawijania. Krytyczny pogląd na te czynniki, poparty doświadczeniami, wraz z wyjaśnieniem poprzednich, pozwoliłby nam odkryć tajemnicę zależności strzału od tych drobnych, a w zestawieniu licznych wpływów, jakim podlega pocisk śrótowy. Było to wadą dotychczasową, że niejeden rozjaśniając pojedynczy z tych tematów, usiłował przypisać mu wyłączny wpływ, usuwając inne z uwagi. Pojmie więc szan. czytelnik i przyjmie moje usprawiedliwienie, że nie chcąc uledz tej wadzie, wstęp przedłużyłem, aby mieć wątek do racyonalnego traktowania przedmiotu. Traktując go w dalszej części, starać się będę o tyle tylko dotykać innych, o ile te z nim w ścisłym zostają związku.

W najpierwszych początkach zastosowania pocisku rozdrobnionego do broni palnej, t. j. śrótu, przekonano się, że oddzielenie tegoż od prochu jest rzeczą konieczną. Pomięszany proch ze śrótem nie wywołuje żadnego efektu w strzale, pierwszy się spali, podczas gdy drugi zostaje w lufie, lub mała ilość ziarn tegoż na zewnątrz wyrzuconą zostanie i to z siłą nader nieznaczną. Przyczynę tego zjawiska łatwo wytłómaczyć. Siła rozprężliwości gazów, po spaleniu prochu powstałych, wywiera na znajdujące się ziarna śrótu ze wszystkich stron jednakowe ciśnienie, nie zmieniając położenia tychże, ziarna tylko leżące na prochu

zaledwie wyrzucone zostaną. Powód ten wystarczył, aby pomyślano o oddzieleniu prochu od śrótu, a materyał do tego użyty w jednostce nazywa się przybitką. Z drugiej strony aby zabezpieczyć wysypywanie się śrótu z lufy, musiano utrzymać go w niej przez użycie drugiej przybitki. Podzielę z tych powodów przybitki na te dwie kategorye, odpowiednio do ich zadania. Zajmiemy się obecnie przybitką kategoryi pierwszej. Zanim jednak przystąpię do tego, przytoczę doświadczenia, robione przezemnie, które objaśnią, czy i jaki wpływ różnej grubości przybitka wywiera na strzał. Doświadczenia te, robione w przerwach, nie prowadziłem w myśli publikowania ich, dla tego, czego, bardzo żałuję, nie zebrałem z nich ścisłych dat liczebnych, sądzę jednak, że dla celu, w jakim je przytaczam, rezultaty ogólne, jeżeli nie zupełnie, to przeważnie wystarczyć powinny. Prowadziłem je, używając bardzo dobrej strzelby kal. 18go, systemu centralnego, o wierceniu luf zupełnie cylindrowem. Dalsze czynniki były następujące: Łuski zwyczajne, tekturowe, normalna ilość prochu równała się objętości kalibrowej kuli, śrótu nieco mniej w nrze 6tym. Odległość, na jaką próby te robiłem, wynosiła 30 metrów, a doświadczenie każde przynajmniej dwa razy powtarzałem. Ażeby w celu badania wpływu przy używaniu przybitki pierwszej kategoryi, rezultaty wyłącznie do niej się odnoszące obserwować, musiałem wyeliminować przybitkę na śrót, co dokonałem przez przyklejenie tegoż w woreczkach organtynowych do badanej przybitki: 1. Przybitka tekturowa słaba, grubości 1·5 $^m/_m$. Strzał okazał się rozrzucony, śróty wszystkie odbiły się od deski. 2. Dodatek prochu $^1/_6$ objętości, spowodował przy tych samych i innych warunkach większe rozrzucenie, nie podwyższając siły uderzenia śrótu. Trącenia *(Rückstoss)* przy strzale nie uczułem. 3. Użyłem przybitki równie cienkiej, lecz kal. 16go. Przy poprzednich warunkach i normalnej ilości prochu strzał był gęstszy, lecz siła jego nie wzrosła, ziarna śrótu gdzieniegdzie większe dołki porobiły w desce, odbijając się jednak. 4. W miarę podwyższania grubości przybitki tekturowej, średniej miękkości, od 3 do 11 $^m/_m$, spostrzegłem, że siła uderzenia śrótu wzrastała. Przy przybitce 8 $^m/_m$ przebijała już znaczna część ziarn deskę 12 $^m/_m$, a lekkie oddziaływanie, t. j. trącenie, uczuć się dało. Przy przybitce 11 $^m/_m$ śróty przechodziły w większej liczbie przez pierwszą deskę i w drugiej tkwiły na 2 do 3 $^m/_m$ głęboko, oddziaływanie zaś było wyraźne. Inaczej rezultaty te przedstawiły się ze względu na gęstość strzału. Przy użyciu przybitki 3 i 4 $^m/_m$ kąt rozbiegu śrótu był bardzo mały, uzyskałem pokrycie nader gęste. W miarę użycia grubszych przybitek kąt ten zwiększał się nieco przy ostatniej przybitce 11 $^m/_m$ w arkuszu papieru było ziarn około $^3/_5$ całej ilości.

Drugą grupę doświadczeń łącznych robiłem analogicznie z przybitkami na śrót.

Przy innych w tych samych warunkach jak w doświadczeniu 1. i 2, użyłem przybitki 1 $^m/_m$ grubości. Rezultat okazał się gorszym w ogóle. Przy doświadczeniu 3. polepszył się nieco tylko; przy przybitce 4 $^m/_m$ na proch już zmiany nie dostrzegłem. Użyta dopiero przybitka 3 $^m/_m$, twarda, spowodowała mniejszą gęstość, a siła śrótu wyraźnie wzrosła. Przy 8 $^m/_m$ i 11 $^m/_m$ przybitce wpływ 1 $^m/_m$ śrótowej był niedostrzegalny, 3 $^m/_m$ przybitka analogiczny rezultat okazała, jak w poprzedniem doświadczeniu, jednakże w mniejszym stopniu, oddziaływanie strzału zaś dotkliwie dawało się odczuć. (Ciąg dalszy nastąpi).

STARA GAWĘDA.

Było to na Podlasiu. Pierwszy raz w życiu mojem i ostatni ujrzałem razem zgromadzonych kilkunastu równą siwizną okrytych, z dawnych czasów mężów. Obchodzono imieniny pana Skarbnika Michała, szanowanego w okolicy obywatela, poważnego siwizną, uczciwego sercem i duszą. Obok tych starców znajdowało się już nie młode grono nowego pokolenia, a między nimi mała liczba wojowników. Młodzież z gronem kobiet rozpoczęła rzeźwe tany, a starcy z puharem gawędą czas mile pędzili. Com zachwycił ciekawym uchem, opowiem.

— „Pijemy zdrowie szanownego gospodarza, kochanego Skarbnika!“ zawołał pan chorąży. — „Niech żyje lata matuzalowe!“ — „Dziękuję, dziękuję!“ odrzekł pan skarbnik, kłaniając się na wszystkie strony. „Ale czemże się zabawim, młodzież hasa, przysiada trzewiczki białymgłowom, prawi androny.“ — „Ba, mój mości skarbniku, i my za naszych czasów również dokazywali, lubo nie tak kuso i obcięto we fraczkowym sposobie; niezważalim co mówi on sławny Wirgilius:

Jak Wenus, tak Bachus, człeku
Ujmuje sił, ba, i wieku!

I to rzekłszy pan arcy-stolnik, musnął się po czuprynie.

— „Oj, Wenus niejednemu dużo zabrała czasu, bo gdzie ona zajechała, już tam księgi fora z dwora. Nie próżno powiedział jeden ze starych rzymskich poetów:

Dziwnie się Wenus kocha w próżnowaniu,
Róbże, chceszli mieć koniec miłowaniu.

— „Co tam mój arcy-stolniku prawita, każde młode piwo musi wyszumać i każdy z nas grzechy młodości musiał opłacić, dobrze że ich nie zachował na stare kości.“ To rzekłszy pan stolnik dolał pełnego puhara. — „A teraz moi mili sąsiedzi może pozwolicie w karty, w kiksa do puli, albo w *Elbecwelbe.*“ — „Porwan katu ten stolik i ta sedenterya, za moich czasów — prawił pan cześnik — to rzadko zajrzałeś karty na stole, a teraz byleś wysiadł z kolasy, to zaraz siadaj tu grać w jakiegoś wiska, co ci kieszeń wyiska, pamiętaj wszystkie kolory, jak formuły alwara i jeszcze zapłaciwszy, słuchać musisz nieraz reprimendy. Ot mój szanowny gospodarzu, my tu gawędką zabawim się lepiej, albož nam braknie kiedy wątku? żyliśmy długo w dawnych czasach, a i człek nie pleśniał doma, bo to dobrze mówią, że kamień na miejscu mchem obrasta; a nasze dwory, nasze łowy, małoż nam w ucho szepnąć mogą? Na początek ja waszmościom opowiem: żywot i sprawy sławnego Szymona Konopki, nadwornego strzelca

Pana Tyzenhauza, opowiem wiernie, com z jego własnych ust zasłyszał, proszę jeno miłego gospodarza, by na podorędziu było czem usta zaschłe odwilżyć.“

„Pan Szymon Konopka urodził się w dobrach tego pana około Żołudka w Nowogrodzkiem, wychowany i urodzony między lasami i jeziorami, syn nadleśnego, który cały żywot trawił na polowaniu i był zawołanym myśliwym, ażeby nie tylko panu swemu Tyzenhauzowi, lecz i na stół królewski ile można najwięcej dostarczyć zwierzyny, nic dziwnego, że Szymek od lat dziecinnych miał już żyłkę do łowów, a całą myśl jego zajęły polowania, stanowiska, żelaza na lisy i doły na wilki. Ale ojciec w ryzach trzymał syna małego, nie pozwalał mu wybiegać za dom, płakał a siedział nad elementą. Wprawdzie pod niebytność ojca dorwawszy do ręki jednę z jego broni, których miał wiele i uzbierawszy nieco rozsypanego prochu, gdy go wychodząc na łowy ojciec między gajowych dzielił, skoro wszyscy wyjechali i Szymek wylatywał do lasu i ptaszęta lub wiewiórki bijąc, doskonale się w strzelanie celne wprawił. Ale ojciec pomiarkował to, kazał szafę zrobić i jaką broń miał, na klucz zamykał, odejmując synowi wszelką strzelania sposobność. Został jedynie zawieszony na kołku stary odwieczny karabinek dragoński, wraz z ogromną szablicą, jako pamiątką służby wojskowej ojca, w pułku dragońskim Fleminga za panowania Augusta, które to zabytki dawnej wojaczki rdza już gruba i kurz pokryły.

Miałem — prawił mi sam Konopka — nieco uzbieranego prochu, ale nic więcej, chcąc chociaż na wiwat wystrzelić, wlazłszy na stół potrafiłem zdiąć karabinek, a kilka dni pracując należycie wyczyściłem, nabiłem, i już miałem wybiedz, gdy słyszę turkot bryczki, drżący i struchlały zaledwiem karabinek na miejscu powiesił, zajechał mój wuj kanonik Miński, który równie jako i mój rodzic myśliwy, przyjechał doń na łowy. Osobliwie też lubił na borsuki polować, przywiózł więc z sobą śliczne taksy kurlandzkie. Nie długo bawił i za rodzicem pojechał, zostawiwszy pod moim dozorem faworytną na oszczenieniu taksicę. Dopieroż ja z karabinkiem biegnę na łąkę po nad jezioro żeby wystrzelić; patrzę, aż na wodzie, na wywrocie starym, siedzi ośm w szeregu kaczek dzikich. Myślę sobie, jak strzelę, to je spłoszę; ach, żebym miał czem nabić, to bym zabił którą, ale oprócz prochu nic nie mam. Jużem myślał o kamykach, grochu, gwoździach, ale i tego nie mam, a niżeli z domu wrócę, kaczki nie dosiedzą i żadnej nie dostanę. Nagle przychodzi mi myśl szczęśliwa: karabinek ten dragoński miał stempel żelazny, obwijam go w pakuły, kładę w lufę, ale przy tem rozumuję sobie: jednym stemplem jedną zabiję kaczkę, a szkoda kiedy ich razem tyle w szeregu, czyby nie można więcej. Zachodzę im przeto z boku tak, żebym jedną tylko widząc i drugą trafił. Jak palnę, nabój był wielki, stempel spiczasty, gdym pierwszą trafił, przeszedł przez wszystkie i wszystkie na miejscu zostały. Uradowany, zabrałem ośm kaczek z wywrotu, zanoszę do domu, ale nowy kłopot, nie znalazłem stempla. Strach wielki, bo ojciec srodze się rozgniewa, a może i skórę wyłata, biegnę więc, szukam wszędy, na wywrocie, w wodzie, nigdzie go nie ma, pewno utonął w jeziorze; już się zaczynam rozbierać, gdy nagle na drugiej stronie wody dojrzałem, że się coś rusza przy sośnie. Patrzę, człowiek — nie, żaden człowiek, ale jakieś zwierzę, porywam szablicę ojca, wracam, co widzę, miły Boże! a toć to sarna, przybita stemplem do sosny, kręci się i rusza. Dobijam szablą i znajduję szukany stempel, on przeleciawszy jezioro, utkwił w sosnę w tym momencie, gdy biegła sarna, i sam ją przybił do sosny. Uradowany tak niespodzianie grubą zwierzyną, patrzę na mój stempel, że sfarbowany, trzeba go więc obetrzeć, żeby znów nie zardzewiał. Rosły i gęsty był szuwar nad brzegiem jeziora, trącam stemplem po trawie, widzę że się coś tam rusza, kładę rękę, coś kosmato, a to zając, co przysiadł był w szuwarze nie zabity, ale trąceniem stempla między słuchy odurzony, porywam za zadnie skoki i żeby go łatwiej zabić na twardej ziemi, wynoszę na rolę, a zboże już kłosowało, jak utnę o ziemię, aż tu znajduję parę kuropatw, co właśnie na gnieździe siedziały. Tak więc od jednego strzału zabiłem ośm kaczek, sarnę, zająca i dwie kuropatwy. Zmęczyłem się wielce zanim zaniósł tyle zwierzyny do domu, rodzic mój nie łajał uradowany, że godnie odżyje w potomku, wuj zaś kanonik wyrobił pozwolenie, że odtąd będę ojcu towarzyszył na łowach, darował mi strzelbę i małego taksika, z tych, co się u nas urodziły.

Od onego więc czasu nie minęło dnia jednego, żebym czy to z rodzicem czy sam nie wychodził na łowy, i mogę zaręczyć, żem nigdy nie chybił i przychodziłem zawsze obładowany zwierzyną. Dogadzało to rodzicowi, że bez żadnej pracy mógł na stół Tyzenhauza dostarczać, czego było potrzeba, ale jak wszyscy ludzie na świecie, czegoś jeszcze więcej po mnie żądał. Tak u Tyzenhauza, jak u wszystkich panów na Litwie, jaka tylko jest zwierzyna w kniei, jest własnością dziedzica, wilki tylko jedynie, lisy i borsuki, jako szkodliwe zwierza, wolno leśniczym bić i łapać. Rodzic więc mój zastawiał żelaza na lisy, kopał doły na wilki, a dosyć ich musiał łapać, kiedy kilka razy do roku przyjeżdżali żydzi z Wilna i zakupowali furami skóry. Na nieszczęście chłopi z sąsiednich dóbr Radziwiłłowskich zwąchali te myśliwskie sztuki i nie tylko z dołów żelaza wykradali, ale razem wilki i lisy. Mój rodzic o połowę zaledwie mógł skór żydom sprzedawać. Razu jednego rzekł do mnie: „Szymku, synu mój, nasz pan pojechał za granicę, zwierzyny mu nie trzeba, ale nam pieniędzy potrzeba, bij teraz lisy, a jeżeli mi ich najmniej snopek *) co dzień nie przyniesiesz, to nietylko ci nowych sukień nie sprawię, ale i fuzyę odbiorę. Cóż robić, trzeba było ogromnie pracować, bo rodzic był surowy i nie żartował, często i wygarbował skórę. Na szczęście mój taks, faworyt od wuja darowany, a którego nazwałem Kopacz, dorósł, i takiem go wyuczył szukania jam lisich, wypędzania ich z nor i gonienia głosem, żem z początku po kilka codziennie lisów, a później po całym snopku mógł dostawiać. Jakżeż nieraz zmęczony wracałem, ledwiem nogi powłóczył z utrudzenia i potu. Podał mi ojciec radę oprawiać lisy w lesie, ale to dużo zabierało czasu, opatrzność poratowała biednego myśliwca. Raz wlokę się z całym snopkiem lisów, w tem słyszę mój kopacz znowu na jednego trafił i pomaleńku tropuje; myślę sobie, szkoda i tego, mniej pracy na jutro. Ale strzelba wystrzelona, prochu ani na nabój, ołowiu ani krzty, a tu mój psina doławia. Co tu robić? Spojrzę na buty, zdarły się od chodzenia po kniei, odrywam obcas, dobywszy ćwieków, sypię w lufę, aż tu ogromne lisisko chwieje kitą, jak gruchnę do niego — ale cóż baczę? Lis stoi w miejscu, jeno skacze to w bok, to w górę, różne wyprawia szprynce, a zawsze na miejscu. Przybiegam,

*) Snopek skór lisich w Litwie sztuk dziesięć obejmuje.

stoi, a on do dęba przybity za kitę ćwiekami tak mocno, że uciec nie mógł. Aha panie bratku! pomyślałem sobie, nie ujdziesz na sucho, kiedy widzę, że umiesz tak na miejscu skakać, owoż ja ci jeszcze pomogę, ażebyś mógł większego zrobić szprynca. Dobywam z torby kozika, złapię lisiurę za łeb, jak pociągnę po grzbiecie; przerznąłem skórę, porwę tęgiego kija, kiedy nie grzmotnę przez krzyże, kiedy niekrzyknę z gardła: „Nie bywaj tu!“ a mój lisisko kiedy niewyskoczy ze skóry i dalej drapaka do lasa. Skórka śliczna została w moim ręku, daleko lepiej obielona, niżbym ja sam potrafił, i odtąd inaczej nie strzelałem, tylko ćwiekami do lisów, i takim jeno sposobem zdejmowałem skórki.“ Ciekawie zapytałem Konopki, jak długo bez skóry mogły żyć te lisy. — „A pan Bóg wie jak długo, bo znowu porastały na nowo, nieraz wychodziły znowu z kniei na mnie, alem nie strzelał aż po roku, kiedy futra mieli lepsze. Ale to polowanie nie mogło trwać zawsze, zdarłem nie jedne buty, to rodzic mi musiał inne sprawić, lecz mój biedny kopacz goniąc zawsze lisy, a co gorsza, kopiąc je po borsuczych norach, po dwóch latach pracy zdarł sobie nogi zupełnie, że już ani pazurów, ani nawet piętek nie miał, chodził na samych kikutach. Łowy na lisy urwały się; żal mi było wiernego psiny, bo darł się biedak, ilem razy wychodził, a dogonić mnie nie mógł, i rodzicowi memu źle było bez skórek lisich, posłał mnie więc do Mińska do wuja kanonika, czyby nie ustąpił jakiego taksa, ale wuj już żadnego nie miał, bo mu wyzdychały na nosaciznę. Wracałem na Nieśwież, gdzie była wielka psiarnia księcia Radziwiłła panie kochanku, może tam dostanę jamnika. Próżna nadzieja, nie było żadnego; książę pan trzymał najwięcej chartów, które czasem po tysiąc dukatów płacił; właśnie książę wrócił z zagranicy, gdzie długi czas bawił, a odjeżdżając zostawił swoje charty żydom w Nieświeżu, ażeby mu je pod odpowiedzialnością do jego powrotu wychowywali. Jakoż żydzi, chcąc się przypodobać, wypaśli je jak wieprze, pouczyli służyć i aportować. Kiedym do Nieświeża zjechał, wielkie znalazłem nieszczęście, najsławniejszy chart, który księciu ogromne wygrywał zakłady, ukąszony w głowę przez lisa, gdy go ścigał, oślepł całkiem, a gdy oczy mu wypłynęły i nie było żadnej nadziei, książę kazał go zastrzelić, żeby więcej nie cierpiał. Spotkałem jak go prowadzili w pole na śmierć, żal mi się zrobiło, śliczny chart, tęgie nogi, w całej sile wieku, a zatem proszę panów dworskich, żeby mi go darowali. Miał mój rodzic piękną charcicę, myślałem że może pięknego doczekamy się potomstwa. Wiodę go do domu, ale ślicznie mię rodzic przyjął, porządnie wygrzmocił plecy, żem bez jamnika powrócił, krzycząc, że mu darmojadów tylko zbieram i chyba chcę lazaret psi założyć, mając kulasa jamnika i ślepego charta. Prócz bolu dojęła mi więcej pogróżka rodzica, co się zaklął, że chore psy mi wystrzela. Żal mi było mego kopacza, wziąwszy go więc na ręce, a ślepego charta na sznurek, poszedłem z nimi w lasy do znajomego gajowego w nadziei, że go uproszę, aby jaki czas je przechował. Idąc knieją, gdzie najwięcej było nor borsuczych i jam lisich, musiały biedne psiska zwietrzyć, że lis świeżo przechodził, bo kopacz mi z ręki zeskoczył, a chart urwał się ze sznurkiem i dalejże lecą za tropem. Ślepy chart uderzył łbem o drzewo i upadł, jamnik chciał lecieć, gonił głosem ciachu! ciachu! a lazł, ażem zapłakał z żalu pomnąc co to za psy były. Zmęczony siadam na wywrocie, psiska się kładą w nogach, skomląc z żalu, że zwierz blisko, a oni go gonić nie mogą. Kiedy tak siedzę w dumaniu, przychodzi mi myśl szczęśliwa, przywiązuje jamnika na kark chartowi i puszczam w knieje. No patrzcie państwo, udało się wybornie! kopacz gonił głosem, a za jego obrotami stary chart tak doskonale ścigał lisy, że biłem ich tyle co dawniej, a rodzic odobruchany pozwolił mi moje kaleki do domu wprowadzić.

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Lucerna — Sierpień 1886.

U schyłku mego pobytu w Szwajcaryi, używszy do syta widoków tego pięknego kraju, pragnę przesłać waszemu organowi pobieżne sprawozdanie z ubiegłego naszego roku myśliwskiego. Trzeba przyznać, że jak na Królestwo Polskie, to zeszłej zimy św. Hubert był nader łaskawym, gdyż wszędzie odbyte łowy na większych własnościach wypadły rzeczywiście świetnie. Sezon polowań rozpoczął książe Maciej Radziwiłł w dobrach swoich Zegrze nad samą Narwą położonych. Rezultat przy współudziale 7miu tylko strzelców po trzech dniach przedstawiał się jak następuje: 4 dziki, 15 rogaczy i 200 zajęcy. Dzikom szczególnie tym razem szczęście sprzyjało, w każdym bowiem miocie były, bardzo gęsto do nich strzelano, a tak mało powalono! Polowanie było wzorowo prowadzone, służba leśna bardzo wprawnie naganką władała, miotów brano 8 do 9 dziennie, co przy krótkim dniu świadczy, że czasu nie tracono i że plan łowów z całą znajomością był przeprowadzony. Serdeczne przytem przyjęcie pozostało dla uczestników na długo miłą pamiątką. Następnie polowania odbyły się w dobrach Jabłonna i Nieporęt hr. Augusta Potockiego. Tam także spis ubitego zwierza wykazywał poważną cyfrę. Dalej u mego brata w Radziejowicach, gdzie przy bardzo ograniczonej ilości myśliwych w dwóch dniach podniesiono 150 zajęcy i 30 rogaczy. U pana Jana Zawiszy w dobrach Młochowskich polowano trzy razy, a za każdym razem padało pod morderczymi strzałami około sto kilkanaście sztuk rozmaitej zwierzyny, ostatniego zaś dnia wielkich rozmiarów pojedynek ozdobił urządzony wieczorem rozkład na podwórzu. Wiele jeszcze takich sprawozdań mógłbym przedłożyć, lecz uważając to za zbyteczne, pragnę donieść dobrą nowinę, a mianowicie, że nie tylko w samym już promieniu Warszawy, ale i w dalszych częściach Królestwa łowiectwo zaczyna od paru lat szersze obudzać zajęcie i że gałęź tego sportu tak zaniedbana dotąd poczyna czynić rzeczywiste postępy. Dowodem najwymowniejszym jest gubernia Siedlecka, uważana dotąd za nader ubogą w zwierzynę. Obecnie dzięki cywilizowanej gospodarce myśliwskiej doszli tam w pare lat do zadziwiających rezultatów. Jako przykład stawiam tu dobra Milanów i Sucho-

wola ks. Włodzimierza Czetwertyńskiego; zając tam przed paru laty był rzadkością, teraz zaś dzięki usilnym staraniom właściciela nie jeden z naszych myśliwych ubiega się o zaproszenie na polowanie do tego wielce gościnnego domu. Ostatnie trzydniowe łowy dały 200 zabitych zajęcy i kilkanaście rogaczy. Sąsiad ks. Czetwertyńskiego pan Wacław Jaźwiński ma zupełnie ładne polowanie na zające, a o miedzę dalej pan Zabiełło doszedł do tak pięknej bażantarni, iż w dwóch dniach w zeszłym roku zabito 150 kogutów, na bieżący zaś sezon preliminowanych jest 300 sztuk.

Na poparcie mego spostrzeżenia zakomunikować również muszę, że mamy teraz u nas i takie majątki, gdzie właściciele nie będąc sami myśliwymi, przestrzegają przepisy łowieckie, dzięki czemu posiadają bardzo ładny zwierzostan. Wymienić tu wypada dobra Walewice (gub. Warsz.) pana Grabińskiego, słynne z wielkiej obfitości sarn, dalej majątek, którego nazwisko wyszło mi obecnie z pamięci, należące do pana Jerzego Epsteina, znany z pięknej ilości zajęcy i kuropatw. Dobra Wola Pękoszewska (w Rawskiem) pana Jana Górskiego zrobiły także pod tym względem wiele. Choć sam właściciel nie organizuje nigdy łowów, wiem jednak, że surowo wzbrania płoszenia zwierza i zajmuje się jego hodowlą, to też ten miły mieszkaniec pól i lasów rozmnożył się tam w szybkim bardzo czasie. Są to więc najwymowniejsze wskazówki, że myśliwstwo obudza się wszędzie z otrętwienia i że dawna dzika gospodarka to jest bezwzględne tępienie zwierza ustępuje miejsca racyonalniejszej ochronie tegoż. Sam interes powinien by zresztą każdego właściciela zachęcić do hodowania na większą skalę dziczyzny. W Niemczech, Austryi i w Ks. Poznańskiem łowiectwo osobną ma rubrykę w księgach dochodowych. Ileż to majątków dobrze mi znanych, które z otrzymanych funduszów ze sprzedanej zwierzyny nietylko opłacają wszelkie koszta polowania, ale pokrywają też wydatki łożone tak na las jak na jego administracyę. Np. dobra Prinzensdorf w Wyższej Austryi, księcia Kewenhülera, dobra Rydzyńskie książąt Sułkowskich, dobra Pawłowice hrabiów Mielżeńskich w W. Ks. Poznańskiem i wiele jeszcze innych. Nie mówię, żebyśmy mieli dojść do takiej doskonałości, za granicą bowiem większa jest w tym względzie opieka rządu i inne w ludziach wpojone pojęcia o szanowaniu cudzej własności, jednak przy szerszem zajęciu się i przy ogólnej dobrej woli łowiectwo u nas posunąć możemy znakomicie wyżej i dojść przynajmniej do tego, aby pokryć łożone koszta na ten cel. Czysty zysk znajdziemy w przyjemności naszej i gości naszych. Przy tem życie sąsiedzkie tak zaniedbane zyskałoby na tem, stosunki przyjaźni jak interesu odżyłyby, a sposobność oddania komuś grzeczności znalazła by się gotową pod ręką. Ileż to bowiem osób mieszkających stale na wsi i mile w kółkach miejskich podejmowanych, pragnęłoby za doznaną gościnność i grzeczność odpłacić się sutem polowaniem.

Kwestya serwitutów włościańskich choć żółwim krokiem, postępuje jednak zawsze. Wiele u nas jest teraz takich majątków, w których połowa już lasów jest wolną od pastwisk a tem samem oswobodzoną od ciągłego niepokoju. Przyznać także trzeba, że w wielu bardzo powiatach naczelnicy skromnie bardzo od niejakiego czasu udzielają biletów na broń i srogo ścigają tych, którzy ją bezprawnie posiadają, przezco liczba kłusowników nieco się przerzedziła. Dochodzą mnie także wieści z kraju, że w Warszawie organizuje się nowe towarzystwo łowieckie, starające się o sankcyę wyższej władzy. Jakie będą ustawy tego Kółka, powiedzieć nie mogę, zdaje się, że na dobrych chęciach im nie zbywa, chociaż fachowych ludzi wcale w swem gronie nie posiadają. Nie mając tymczasem organu specyalnego, poświęconego temu sportowi, posługujemy się Waszym „Łowcem“ i z niejednej też wskazówki chętnie korzystamy, liczba zaś prenumeratorów jak Wam wiadomo zwiększa się z każdym rokiem. Wszystkie podane przezemnie fakta dają nam pełną nadzieję, że zmiana, która nastąpiła na lepsze, dalej tym trybem postępować będzie, przynajmniej logika pozwala nam to przypuszczać.

Przed zakończeniem mojej korespondencyi choć w kilku słowach wspomnieć muszę o polowaniu odbytem w końcu Grudnia na łosie w słynnych lasach Porzeckich (gub. Mińska), do pana Skirmunta należących. Łowy urządzone tamże przez dwa dni z naganką nie dały żadnego rezultatu, z każdym bowiem rokiem łoś staje się mądrzejszym, uderza po największej części na obławników, a rzadko kiedy daje się wypłoszyć na linię strzelców. Zna on doskonale odgłos trąbki i wie dobrze, że strona, z której żaden szmer i hałas go nie dochodzi, jest właśnie tą stroną gdzie porobiono na niego zasadzki. To też ostatniego dnia około 3ciej już godziny po południu widząc pan Skirmunt, że wszelkie wysiłki dla ubicia choć jednej sztuki będą deremnymi, zaproponował nam za pomocą objazdki probować szczęścia. Siedmiu najzapalczywszych z naszego grona wsiadło każdy na swoje saneczki i ruszyliśmy w głąb lasów. Godzinę dnia mieliśmy tylko przed sobą, a z rozpoczynającym się zmrokiem mieliśmy się wszyscy zjechać do głównej leśniczówki tych rewirów. Wszystko przemawiało za tem, że przy tak krótkim czasie i wobec wypłoszonych łosi po dwóch dniach polowania, nasza ekspedycya narazić się tylko musi na fiasco, tymczasem każdy z nas z wyjątkiem niżej podpisanego, który zabił dwie sztuki, każdy powtarzam przywiózł po jednym łosiu. W godzinę więc niespełna ośm sztuk tego poważnego zwierza zalegało podwórze naszej leśniczówki.

O staropolskiej gościnności gospodarza, o wzorowym zarządzie tak gospodarstwa rolnego jak i fabryk sukna, których pan Skirmunt jest wyłącznym właścicielem i dyrektorem, nic nie wspomnę, gdyż to uczynił przed paru laty w „Łowcu“ Sienkiewicz, nie na miejscu więc uważam tu drugi opis zwyczajnem skreślony piórem, poprzestać chcę jedynie na tem, aby wam przesłać na konkluzyę historyjkę autentyczną, która się może będzie wydawała anegdotką z Tysiąca i Jednej Nocy, lub uchodzić w waszych oczach będzie za grubą myśliwską blagę!... mniejsza o to, ale za prawdziwość jej ręczę, mogąc na każde żądanie wymienić nazwiska osób, które były widzami i aktorami tego dziwnego i tragicznego zdarzenia. Otóż w lasach do dóbr Porzecze należących był nadleśny rodem z Niemiec. Pałał on nieubłaganą nienawiścią dla rodzaju dziczego i wymyślał rozmaite sposoby, by ród ten wytępić. Na wzór Nerona, który mawiał, iż największem jego pragnieniem byłoby, żeby ludzkość miała jedną tylko głowę, gdyż od razu mógłby się jej pozbyć, tak też i nasz pan nadleśny marzył o takim środku eksterminacyjnym, żeby jednym zamachem zgładzić z tego świata dziki, które zamieszkują lasy jego pana. W tym celu wymyślił wreszcie rodzaj pułapki, w zagrodzie gajowego, położonej w środku lasów. Rozumie się że parkan był silny, wysoki, a brama prowadząca do wnętrza mocnemi deskami zbita i opatrzona ciężarkami, mogącymi w danej chwili z wielką szybkością zatrzasnąć wrota. Jak tylko zima nadchodziła, owe wrota otwierano, a na środek podwórza stawiano w kopach owies, który w ten sposób połączono sznurkiem z bramą, że za najmniejszem poruszeniem tegoż ciężarki bramy raptem spadały i wrota w jednej chwili zamykały się. Wymysł pana

*

nadleśnego uważano za naiwny, śmiano się z niego tem bardziej, że kilka lat bezskutecznie już upływało od chwili podjęcia tego krwiożerczego pomysłu. Zeszłej jednak zimy stało się inaczej; śnieg w towarzystwie niebywałych mrozów przykrywszy bardzo grubą warstwą powierzchnię ziemi, sprawił taki głód wśród zwierza, iż tenże z największych puszcz wychodził i między zabudowaniami ludzkiemi szukał pożywienia. Nic więc dziwnego, że do naszej leśnej osady pewnej księżycowej nocy zakradło się stado dzików, złożone z dwóch pojedynków, trzech macior i 9 jednorocznych warchlaków i rzuciło się na przygotowane pożywienie. Naturalnie po pierwszej smacznej przekąsce drzwi się z łoskotem zamknęły i całe dziecze towarzystwo znalazło się raptem bez sposobu wyjścia. Nic nie pomogło, ani rzucanie się, ani fukanie, płot wytrzymał wszystko, brama nie zadrżała, a gajowy obudzony ze snu, spojrzawszy z okna swej chałupy na to co się dzieje, lotem błyskawicy dał o tem znać panu nadleśnemu. Dumny Niemiec z tryumfem zaraportował swemu panu, który długo nie czekając, w towarzystwie kilku znajomych udał się na miejsce wypadku. Tu nastąpił sądny dzień dla biednych więźniów; pan Skirmunt strzelając ze sztućca z po za parkanu, w ciągu 20 minut zgładził wszystkie 14 sztuk. Fakt ten zdarzył się na kilka dni przed naszym przyjazdem. Nieszczęśliwe ofiary tej rzezi oglądałem na własne oczy z uczuciem politowania, gdzie może także zazdrość grała niejaką rolę. Opowiadam tę autentyczną przygodę myśliwską bez żadnych komentarzy z mojej strony, jedynie dla cechy tak oryginalnej w swoim rodzaju.

Kazimirz hr. Krasiński.

Tomice 2. Września 1886.

O rozpowszechnieniu sandacza. Od roku 1880. chowam z powodzeniem sandacza w stawach w mojem majątku Tomice pod Wadowicami, a to sposobem naturalnym,*) który okazał się praktyczniejszym, niż chów sztuczny od czasu do czasu w Niemczech tentowany. Miewam też każdego roku tyle sandaczy różnego wieku, że nietylko starczą mi na własną potrzebę, lecz także mogę je w znacznej ilości odstępować innym posiadaczom wód o nie do mnie się zgłaszającym. Nadto poznałem przez kilkoletnie doświadczenie główne warunki przesyłania prawie bez straty żywych i zdrowych sandaczy w strony bliższe i dalsze, co dla rozpowszechnienia sandacza jest zdobyczą nie mniej ważną, jak nauczenie się jego skutecznego chowu. — Dzięki temu rozesłałem dotąd krocie zaaklimatyzowanych sandaczy młodszych i starszych po Galicyi, do Niemiec i Ukrainy, które nietylko wytrzymały daleki transport, lecz także darzą się w nowych wodach płynących i stojących, które nimi zarybiono. Rozpowszechnienie więc sandacza jako ryby smacznej i dlatego popłatnej, jest dzisiaj możebne i ułatwione, byle tylko ruch przedsiębiorczy w tym względzie ze strony interesowanych więcej niż dotąd wzmógł się i nie ustawał. Jak na początek jednak już dosyć w tym kierunku zdziałało się.

Towarzystwo rybackie w Krakowie, pragnąc sandacza rozmnożyć w górnym biegu Wisły, wzięło odemnie i rozpuściło dnia 19. Listopada 1882 r. pod Krakowem 1000, a dnia 3. Grudnia 1882 r. w granicznej Wiśle pod Oświęcimem 9000 sztuk narybku sandacza, z którego teraz rybacy i konsumenci mają pożytek. Niemieckie Towarzystwo rybackie w Berlinie, chcąc przesiedlić sandacza do Renu, Menu i jeziora Bodeńskiego, gdzie go dotąd nie było, sprowadziło odemnie na ten cel z końcem Marca i Października 1883 r., niespełna 14000 młodych sandaczy i rozpuściło po wspomnionych wodach *). Sandacze utrzymały się przy życiu i rosły wybornie, jak świadczą poławiane tam w roku 1884 i 1885 często i liczne okazy długości 25 do 35 centm., a wagi $1\frac{1}{4}$ do 2 funtów **). Przesiedlenie więc powiodło się, a ten fakt będzie pamiętnym w dziejach gospodarstwa rybnego. Jakoż już ułowienie pierwszych okazów sprawiło takie wrażenie, że o nich pisano po wszystkich gazetach, a Towarzystwo rybackie w Speyer dwa sandacze nawet wystawiło w akwaryum za oknem na widok publiczny. Nadto Towarzystwo rybackie w Würzburgu wydało odezwę do rybaków, aby sandacza przez 3 lata nie łowili, aż się dostatecznie rozrodzi Takiż obowiązek włożyły władze policyjne na rybaków, którzy zresztą z własnego przekonania ochronę sandaczy za potrzebną uznali i dlatego okazy mimowolnie złowione napowrót do wody wpuszczają.

Z końcem Czerwca 1885 r. odbył się w Monachium wiec rybacki ***), w którym jako delegowany z Galicyi uczestniczyłem. Referowałem o moich dotychczasowych doświadczeniach co do naturalnego chowu sandacza i zbiłem przytem podniesioną w Niemczech wątpliwość, jakoby dorzecze Renu, a zwłaszcza ciepły i małowodny Men, nie nadawały się dla sandacza. Po dłuższej i ożywionej nad tym przedmiotem dyskusyi, w której zabierali głos delegowani z nad Renu, Menu i jeziora Bodeńskiego, wiec w końcu na wniosek p. Zenka, członka Towarzystwa rybackiego w Würzburgu, poparty przez innych delegowanych, powziął jednomyślną uchwałę, żeby niemieckie Towarzystwo rybackie jeszcze raz sprowadziło odemnie wielki transport sandaczy dla dorzecza Renu. Tej uchwale stało się zadość, gdyż pomienione Towarzystwo uzyskawszy od dyrekcyi niemieckich kolei pozwolenie przewozu sandaczy pociągiem pospiesznym bez przerwy aż na miejsce przeznaczenia, zamówiło u mnie sandacze, a ja odesłałem 4000 sztuk, z tego 1512 jednorocznych, 2005 dwuletnich, 457 trzechletnich i 26 tarlaków, mniej więc niż roku 1883, ale zato starszych i większych, co tylko na korzyść przedsięwzięcia wypadnie. Przebieg tej żmudnej i kosztownej przesyłki był następujący. Niemcy przysłali mi 21 beczek przewozowych wraz z wykazem, ile i jakiego wieku sandacze do każdej z nich umieścić, oraz gdzie i komu je po drodze oddać. Beczki te zawczasu kazałem ponaprawiać i dobrze wymoczyć, prócz tego podorabiać do nich drewniane lejki na lód, aby nim oziębiać wodę, gdyby podczas transportu nastało ciepło dla ryb niebezpieczne, wreszcie i do każdej beczki mieszek do wdmuchiwania rybom obfitego powietrza w drodze, zwłaszcza na przestankach, gdy woda w beczkach nie porusza się. Następnie zawiadomiłem p. Zenka, że wyślę sandacze dnia 20 Kwietnia, a on doniósł o tem tym Panom w dorzeczu Renu, którzy sandacze mieli zabrać, wzywając ich, aby w tym dniu w czasie przybycia pociągu czekali na dworcu. Zamówił też na stacyach czysty

---

*) Nowicki M. Dr. O chowie sandacza (Okólnik Nr. III. Tow. rybackiego w Krakowie str. 41) 1883 r.; — *Natürliche Zanderzucht in Seen und Teichen (Circular Nr. 1 des deut. Fisch. Vereins.)* 1883 r.

*) Zenk, *Die Einführung des Zanders in das Rheingebiet (Circular des deut. Fisch. Vereins Nr. 5 str. 206) 1883 r.*

**) *Extra-Felleisen des Würzburger Stadt und Landboten* Nr. 116, str. 463 r. 1884. — *Circular Nr. 6 des deut. Fisch. Vereins* str. 140 r. 1884.

***) Protokół z tego wiecu jest ogłoszony w *Circular Nr. 1 des deut. Fisch. Vereins 1886*, a w nim mój referat i cała dyskusya o sandaczu na str. 37—43.

lód dla sandaczy. Po tych przygotowaniach przystąpiłem do samej przesyłki, mianowicie spuściłem stawki zimowe, w których się takowe znajdowały i odłowiłem sandacze, które tymczasem umieściłem w koszach na wodzie obficie przepływającej, aby nie posnęły. Dnia 19. Kwietnia naładowano beczki na wozy, napełniono wodą i obsadzono według wspomnianego wykazu sandaczami, a gdy nocą już wszystko było gotowe, ruszono do Oświęcima, 5 mil od Tomic odległego, pod moim i moich ludzi dozorem, mimo to jednak zaszedł niemiły wypadek, że jeden fornal chcąc wyprzedzić drugiego wjechał na kupkę kamieni i wóz przewrócił, w skutek czego woda z beczek wylała się, a z nią 140 trzechletnich sandaczy wypadło na gościniec i zniszczało z tego powodu, że obrały sobie skrzele pyłem, a wody pod ręką nie było. Dnia 20 Kwietnia po przybyciu raniutko do Oświęcima, przeładowano beczki zapomocą dźwigni z wozów do jednego wagonu, którym sandacze miały odejść aż do Würzburga, i wzięto podostatkiem lodu, chociaż p. Zenk takowy po stacyach zamówił. Celem pewniejszego przewiezienia sandaczy w stanie żywym i zdrowym, wysłałem z nimi mego rządzcę p. Studzińskiego i mego stawowego Fr. Cierpiałka. O 9 godzinie rano odjechały sandacze z Ośmięcima pociągiem pospiesznym, a o 10 wieczór przybyły szczęśliwie do Drezna, gdzie stały do godziny 5 rano dnia 21 Kwietnia, bo dopiero w tym czasie pociąg dalej odjechał. Dnia 21. Kwietnia raniutko sandacze ruszyły dalej ku Würzburgowi. W przejeździe przez Hof, Neuenmarkt, Bamberg, Hassfurth i Schweinfurth p. Studziński oddał na dworcach część beczek z 2109 sandaczami osobom do ich odebrania przeznaczonym, przyczem się musiał bardzo spieszyć, gdyż pociąg stawał wszędzie tylko na kilka minut. Resztę beczek z 1891 sandaczami dowiózł o godzinie 5 popołudniu do Würzburga, zkąd znowu jedna ich część odeszła dalej do jeziora Bodeńskiego, drugą zaś zabrał p. Haak dyrektor królewskiego zakładu rybnego koło Hüningen w Alzacyi, a trzecią p. Zenk do Seewiese, swego majątku. Ten ostatni dostał 10 sandaczy i 7 karpi tarlaków rasy szlachetnej, aby mu dać ponowną sposobność wychowania u siebie narybku, co mu się w roku 1383 nie udało. W tymże celu ofiarowałem p. Haakowi 16 sandaczy tarlaków. Właśnie otrzymałem z Berlina wiadomość od pana Behr'a, szambelana cesarza i króla pruskiego i członka izby Panów, który pisze: „Odebrane od Pana sandacze udają nam się szczęśliwie. Haak pisze mi pod dniem 1. Czerwca 1886. Z Galicyi otrzymane sandacze starły się, a narybek młodych sandaczy zapełnia tutejsze wody Renu".

Przesyłka więc powiodła się podobnie jak w roku 1883. Chłodne powietrze sprzyjało jej samo przez się, dlatego można było utrzymać ciepłotę wody mniej więcej na 7° R. przy użyciu tylko małej ilości lodu, a nocą nawet bez dodatku takowego. Zimna woda w połączeniu z powietrzem obficie w dzień i w nocy wdmuchiwanem, działały korzystnie na życie i zdrowie ryb. Niadogodną była tylko ta okoliczność, że wagon z rybami doczepiony do pociągu na tegoż końcu, mocno rzucał, wskutek czego trudno było na nogach się utrzymać, beczki przechylały się lub uderzały o siebie, lejki z lodem spadały, ryby mniejsze o ściany rozbijały się. Wszystko to dałoby się ominąć, gdyby ryby szły pociągiem osobowym, zwłaszcza, że na nagłym po spiechu nic nie zależy, skoro znamy teraz sposoby, jak ryby przez dłuższy czas utrzymać żywe i zdrowe.

W końcu nadmienię jeszcze o kilku przesyłkach sandaczy, które uskuteczniłem tego roku do Galicyi i na Ukrainę. Ks. Lubomirskiemu w Miżyńcu posłałem 10 trzechletnich sandaczy z 5 karpiami tarlakami i 12 linami razem w jednej beczce, pod konwojem mego człowieka. Sandacze doszły wprawdzie żywe, ale już tak osłabione, że gdy je wpuszczono do stawu, nie odpłynęły, lecz zostały przy brzegu i posnęły. Niepowodzenie to przepisuję tej okoliczności, że karpie przy ciągłym wdmuchiwaniu powietrza czując się rzeźwymi, robiły silne ruchy i skoki, przyczem sandacze rozbijały. Ks. Sanguszce w Tarnowie posłałem 28 trzechletnich sandaczy bez dodatku innych ryb i doszły one tam zdrowe. Obywatelowi p. Podhorskiemu w Antoniowie na Ukrainie posłałem 58 trzechletnich sandaczy w dwóch beczkach, pod konwojem człowieka ztamtąd przysłanego. Tenże wyjechał z Tomic d. 1. Maja w południe, a stanął na miejscu dnia 4. Maja w nocy. W dalekiej tej drodze zginął mu tylko 1 sandacz a 57 dowiózł w stanie zdrowym.

Tak więc opatrzyłem tego roku w sandacze odległe od siebie na północ, zachód i wschód miejscowości, jak Würzburg, Hüningen i na Ukrainie Antoniow i życzę jeszcze tylko, aby z nich wszędzie miano korzyść jak największą.

Alexander Gostkowski.

KRONIKA.

Nie z naszej winy opóźnioną korespondencyę podajemy z prawdziwą przyjemnością. Jest ona zacnym wyrazem pojednawczym w sprawie, którą zgodą i wyrozumiałością umorzyć gorąco pragnęliśmy.

Kamienna 26. Czerwca.

Nigdy w mem życiu nie powodowałem się ani osobistością, ani prywatą, a jakkolwiek skromne bardzo jest pole mego działania, jednak dosyć znalazłoby się ludzi, którzyby to potwierdzili. Tem mniej mógłbym się niemi powodować w obec pana Bol. Jordana, którego nawet nie mam przyjemności znać. Odpowiadając na artykuł pana Jordana, występowałem jako ormianin podkarpacki, o których on pisał, więc tu nie było osobistości. Gdy dziś pan Jordan zapewnia, że pisząc nie myślał nic krzywdzącego o nich, a nadto ustnie to szan. Redakcyi wyjaśnił, to honorowi tychże stało się zadość, a ja najchętniej przystaję na propozycyę, uczynioną mi przez szan. Redakcyę i pierwszy do zgody rękę podaję, puszczając w niepamięć co było. *G. Głuchowski.*

Nie da się zaprzeczyć, że gdzie silna wola a uczciwe chęci sojusz z sobą zawrą, tam można liczyć na rozkwit każdego przedsięwzięcia pod tem godłem poczętego. Nie dawniej jak przed pięciu laty zawiązało się w naszem miasteczku za staraniem Wgo Rajcharda, dyrektora lasów, Towarzystwo myśliwskie, które postawiło sobie za zadanie jak z jednej strony dostarczać członkom swym przyjemności polowania, tak z drugiej wpłynąć korzystnie na przyrost zwierzyny w najbliższym okręgu Łańcuta. Wpływy i względy tych, w których możności jest przyjść z pomocą i środkami każdemu szlachetnemu dziełu, umożliwiły w tym kierunku zadanie młodego Towarzystwa. JW. Roman Hrabia Potocki dał się uprosić na protektora zawiązanego klubu, a oddawszy do dyspozycyi Towarzystwa kilka gmin z obszarem kilku tysięcy morgów, założył silne podwaliny i utrwalił raz na zawsze byt naszego Towarzystwa. Lubowników polowania znalazło się jak na naszą mieścinę wielu, urzędnicy polityczni, sądowi, skarbowi i obywatele miasteczka w liczbie 13 wzięli się gorliwie do dzieła, ustanowili wzorową straż i doprowadzili wreszcie do tego, że dzisiaj w gminach słynnych z kłusowników, tych ostatnich wcale nie ma, a za to spora liczba zwierzyny uprzyjemnia zbiorowe polowania i wynagradza w zupełności ten drobny trud, jaki początkowo w pierwszych chwilach istnienia Towarzystwa był nieunikniony. W se-

zonie, w którym ustawa wzbrania polowania, zabawiali się członkowie klubu strzelaniem do tarczy i kul Bogardyusza, a Towarzystwo, o ile fundusze jego starczyły, rozdzielało nagrody za najlepsze strzały. Lecz widocznie Towarzystwu naszemu przyświeca jakaś szczęśliwa gwiazda, bo gdy się Hrabia Roman Potocki dowiedział, iż Towarzystwo urządza strzelanie do tarczy, nietylko wypożyczył ze zbrojowni swojej najlepsze sztućce, lecz jeszcze nadał wysokiej wartości premię, którą Wny Rajchard za najwyższą ilość trafnych strzałów otrzymał. Po skończonem pięcioleciu dodał JW. Hrabia Roman Potocki Towarzystwu jeszcze drugą połowę obszarów gminy Albigowy, a gdy Towarzystwo dodzierżawiło jeszcze kilka gmin, wówczas mając już tak znaczny kompleks gmin i obszerny teren do polowania, a wreszcie i warunki coraz większego rozwoju, postarało się u Wysokiego c. k. Namiestnictwa o potwierdzenie statutów i nazwy: „Towarzystwo myśliwskie Diana w Łańcucie“, a zwoławszy walne zgromadzenie, wybrało Wydział składający się z czterech członków, którego prezesem obrany został p. Rajchard, zastępcą p. Szulc, skarbnikiem p. Witkowski, a sekretarzem Sitowski. Niechaj tedy ten krótki rys rozwoju naszego Towarzystwa będzie bodźcem do zawiązywania się podobnych kółek dla tych, którzyby radzi w wolnych chwilach od zajęć i pracy znaleźć rozrywkę w polowaniu. Opieka zaś i łaskawe względy dostojnego Protektora niech będą przykładem świetnym dla wszystkich, w których mocy jest przyczynić się do zakładania tego rodzaju Towarzystw. — Statuta i regulamin Towarzystwa dołączam.

Łańcut dnia 16. Września 1886.

Leonard Sitowski.

Myców — Wrzesień.

W nrze 9. r. b. „Łowca“ podaje p. A. Ubysz, że w Bełzkiej ziemi rozmnożyły się susły tak dalece, że obszary dworskie wraz z gminnymi radzić muszą nad sposobem zwalczenia tej klęski, a oraz poucza, że wrony i koty są ich najlepszymi tępicielami. Radzi tedy pierwsze oszczędzać jako dobrodziejów rolnictwa, przemilcza zaś o losie drugich. Wreszcie przedstawiając mnie jako nieubłaganego wroga rodu wroniego, przez co miałbym działać wraz z susłami na niekorzyść rolnictwa, zapytuje, co ja na to? Otóż czuję obowiązek odpowiedzieć, że niezupełnie dokładnie był p. U. poinformowany, dzwoniono, lecz nie w tym kościele. Mieszkam stale w Bełzkiem i gospodaruję potrosze, więc wiedziałbym i ja coś o klęskach suślich i o krucyacie na nich, lecz ani jedno, ani drugie do mej wiadomości nie doszło, wiem wprawdzie o takim wypadku, ale było to przed laty dwudziestu. Nie przeczę, że susły u nas są, lecz obecnie w tak małej ilości, że byle innej plagi nie było, ta nam nie dokuczy. Powtóre jako żywo nigdy na wronie głowy premii nie nakładałem, jeno na srocze i jastrzębie i nie tylko na głowy, lecz także na jaja, których mi od roku 1881 więcej jak 3000 dostawiono. Jeżeli tem wyrządzam szkodę sąsiadom rolnikom, to mocno ich przepraszam i gdy zażądają, gotów jestem z tego grzechu się poprawić, a gdy p. Ubysz zamieszka u nas jako rolnik, nieomieszkam zasięgnąć jego światłej rady, jak działać na korzyść rolnictwa w ziemi Bełzkiej. Donoszę oraz, iż zawiązałem Towarzystwo myśliwskie z 12 członków na knieję 1600 morgową miasta Bełza, którą zadzierżawiliśmy na lat sześć. (P. R. Prosimy o bliższą wiadomość, dotyczącą organizacyi tego Towarzystwa).

Hulimka.

Trzy daniele pojawiły się w lasach miasta Nowego Sącza, położonych na południowych stokach małych Karpat i utrzymują się tam już od dłuższego czasu, a według twierdzenia straży leśnej pomiędzy temi zwierzętami znajduje się jedna matka z dwoma młodemi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa płowi ci goście nadciągnęli tu, wydobywszy się ze zwierzyńca ks. Hohenlohe na pograniczu węgierskiem. Przed kilku dniami szukał w tychże lasach schronienia także zbiegły z tegoż zwierzyńca jeleń, który jednak spłoszony i goniony ostro przez ogary, powrócił znowu do zwierzyńca. *Sylwan.*

Niedźwiedź zabił w Tatrach w hali Pysznej czworo jałownika w drugiej połowie Czerwca. *Miesięcznik Tow. ochr. zwierząt.*

Dnia 8. Września zabito w lasach Pacykowieckich rysia samca, goniącego sarny. Ważył on niewypatroszony 19 kilo, długości miał 112, wysokości 70 centymetrów. *Brykczyński.*

Środek przeciw wściekliźnie. Hr. Kazimierz Młodecki ogłosił, że ponieważ w tym roku zdarza się wiele wypadków pokąsania ludzi przez psy wściekłe, a nie wszyscy z nich z powodu kosztów mogą jechać do Pasteura, przeto byłoby zbawiennem wypróbować na nich lekarstwo p. Patkiewicza, który istotnie niem uzdrawia. Lekarstwa tego używała rodzina Patkiewicza przez 100 lat na Ukrainie, on sam zaś w powiecie jarosławskim przez 35 lat, a obecnie od 15 lat w powiecie brodzkim, zawsze z niezawodnym skutkiem. Namiestnictwo poleciło w r. 1867 Patkiewiczowi leczyć w szpitalu we Lwowie 11 ludzi, wówczas przez wilka wściekłego w żółkiewskim powiecie pokąsanych i ludzie ci wyzdrowieli. Mimo tego nie przedsięwzięto dalszych prób doświadczalnych w celu przekonania się o niezawodności tego lekarstwa, zapewne dla tego, że podał je krajowiec i to niedyplomowany. W r. 1869 zwracał uwagę sejmu poseł ś. p. ks. Wład. Sanguszko na niezawodność tego lekarstwa i sprawę tę do zbadania oddano Namiestnictwu. Ówczesny jednak protomedyk powiedział otwarcie, iż byłoby niesłusznie, aby człowiek niedyplomowany odbierał praktykę lekarzom, notabene dodawszy którzy nie tylko nie posiadają żadnego skutecznego środka na wściekliznę, ale jeszcze dotąd nikogo nie zdołali z niej wyleczyć. Mimo tego, aby im interesu nie popsuć, protomedyk nawet doświadczeń robić nie chciał. Do Patkiewicza udaje się mnóstwo ludzi po ratunek, gdy są pokąsani i zawsze zostają ocaleni. Między innemi przytoczymy, że w roku 1883 w Nakwaszy wilk wściekły pokąsał 23 ludzi i bydło, którym na wezwanie wydziału powiatowego w Brodach zadawał Patkiewicz swoje lekarstwo z takim skutkiem, że ludzie i bydło zostali wyleczeni, co urzędownie poświadczono. Lekarstwo jest to proszek ziołowy, dający się lat kilka nawet w suchem miejscu przechowywać, bez utraty skuteczności. Im prędzej po wypadku ów proszek zażyty, tem skuteczniej działa, bo gdy już nastąpią kurcze, zachodzą pewne trudności.

Tygodnik roln. Krak.

Z Ukrainy.

Niczego Galicyanom nie zazdroszczę, tylko ich zwierzostanu, o jakim jako czytelnik „Łowca“ się dowiaduję. Sprawozdania o odbywanych w Galicyi z świetnym rezultatem łowach świadczą wymownie, jak błogie wynikają skutki z wprowadzenia ładu w łowiectwie i ze ścisłego przestrzegania ustaw. Nieraz czytam, iż w Galicyi na obszarze 50morgowym ubito w kilka strzelb 5 do 6 kozłów i kilkadziesiąt zajęcy, gdy u nas często na 500morgowej leśnej przestrzeni w kilkadziesiąt strzelb i połowa tej zwierzyny nie padnie. W czemże leży przyczyna? Oto w tem, że w ogóle myśliwi, a szczególnie włościanie nie przestrzegają ustaw łowieckich, które u nas może dawniej jak w Galicyi istnieją. Ustawy te wskazują wprawdzie pory, w których pewne gatunki zwierzyny ubijać wolno, ale nie orzekają, komu właściwie polować dozwolono. Gminy wiejskie w Galicyi wedle brzmienia ustawy, obowiązane wydzierżawiać polowania na swoich obszarach osobom, dającym rękojmię ścisłego wykonywania ustaw, u nas przeciwnie, nawet zagrodnikowi wolno polować na gruntach do gminy należących, w celu ochronienia pól własnych od zwierzyny szkodliwej, do której oprócz dzików, wilków i lisów włościanie zaliczają też sarny i zające. Z tej przyczyny w każdej niemal chałupie znajduje się myśliwy ze strzelbą lub samołówką. Nikt mu nie może zabronić polować na własnym gruncie, pod dworskim lasem, czy to w jesieni czy w zimie, gdy w księżycowej nocy na sarnę lub zająca czatuje. Zwyczaj ten praktykuje się od dawna na całej Ukrainie, cóż więc dziwnego, że stan zwierzyny jest tak ubogi. Poluję z chartami i ze strzelbą, poluję często i do nader szczęśliwych trafów zaliczam, gdy raz w miesiąc zajęczynę w lesie lub na polu spotkam. Zająca stłumią chłop, pies jego kundel lub lisy, których tu wielka liczba, a tych ostrożnych chłop licho strzelający nie ubije. Sarny też wieśniacy na zasadzkach wystrzelają, a wilki nie mało ich, szczególnie w nawalnej zimie pochwycą. Toż całą naszą przyjemnością myśliwską są błota. Na tak zwanej rudzie pełno zwierzyny, której chłop przemysłem swym nie dosięgnie, a na tej rudzie często w jesieni i zimie wilkom i lisom dostaje się po skórze. Na tę zwierzynę polujemy zwykle z sieciami. Myśliwi zajmują stanowiska w łozach, wpuszczone gończaki gonią co natrafią, a co nie zginie od strzelby, chwytają w polu charty. Ja chodzę po błotach z 12letnim chłopcem, który strzela jak skończony myśliwy, a przemyślna i mądra bieda, jak mało który z nas starych wygów. *B.*

Hodowla karpi na wielką skalę rozpoczyna się w Królestwie Polskiem obcym kapitałem, gdyż towarzystwo zagraniczne z kwotą pół miliona marek zakłada w tym celu stawy na przestrzeni 7000 morgów.

Tygod. roln.

Według doniesienia pisma „Selskij Wiestnyk“ znajduje się w gubernii Permskiej wschodniej Rosyi tak znaczna liczba zwierzyny drapie-

żnej, że rząd wyznacza za wytępienie jej premije. W roku 1885 ubito w tej gubernii: 865 niedźwiedzi, 1875 wilków, 300 łosi, 820 jeleni, 1650 lisów, 1150 kun, 1900 sobolów, 129.000 wiewiórek, około 89.000 zajęcy, 129.000 par jarząbków, 73.000 par cietrzewi i głuszców, a prócz tego jeszcze wiele innego dzikiego ptactwa. Zwierzyna cenioną jest: niedźwiedź 10 rubli, wilk 2—4 rub., łoś 4 — 9 rub., jeleń 4—8 rub., lis albo kuna 2—6 rub., sobol 3 — 7 rub., wiewiórka 5 — 30 kop., zając 5 — 15 kop., para jarząbków 15—50 kop., para cietrzewi lub głuszców 50 do 90 kop.

Zulin — Sierpień.

Każda dysputa prowadzi zwykle do wyjaśnienia rozważanej sprawy. Tak też moja korespondencya w nr. 3 „Łowca“ w sprawie użyteczności psów kastrowanych wywołała odpowiedź p. A. Ubysza. Na jego wywody, oparte na prawie natury i na licznych doświadczeniach, zgadzam się zupełnie, ja jednak powołuję się w mojej korespondencyi jedynie na własne doświadczenie, mianowicie na używanie przez lat pięć wyżła kastrowanego z zupełnem zadowoleniem i żałuję, że pożarcie tego psa przez wilka pozbawiło mnie doświadczenia w jego późniejszym wieku. Odpierając przypuszczenie p. Ubysza dodaję, że pies mój wykastrowany był jako szczenię, albowiem hr. Stecki, z którego psiarni pochodził, obdarzał pieskiem zawsze tylko wykastrowanym. Sądzę, iż stanowcze rozstrzygnienie kwestyi użyteczności wykastrowanego szczenięciem wyżła zawisło od dłuższego. n. p. 10letniego doświadczenia, bo do tego wieku dobre przymioty psa, prócz słuchu, nie ustępują, więc kto z szanownych amatorów psów będzie miał sposobność zrobić takie doświadczenie, ten stanie się sędzią rozjemczym w tej kwestyi. *W. Chmurowicz.*

Kamienopol (pod Lwowem).

Gdziem przed laty płynąc w łodzi
Strzelał kaczki, łyski, nurki,
Tam — uwierzy pan dobrodziej? —
Dziś pieleszą się przepiórki.

Nie ma śladu nawet po owym dużym kamienopolskim stawie, na którego topieliskach krociami pluskało się kaczek i innego wodnego ptactwa, moczarne zaś brzegi jego były pieleszą błotnego. A ile go tam było, o tem i w mogile nie zapomną radca Tomek, Rejmers *) i wielu już dziś snem wiecznym spiących dzielnych myśliwych. Któż poświadczy sławę owego stawu i błot — chyba sędziwy Józef, niegdyś niepospolity myśliwy, dziś dogryzający resztki żywota w usługach przy Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie. Hej! hej! jak to tam ongi było! Kto ciekaw, niech go zapyta. „*Tempi passati!*“ Wody stawu popłynęły ku morzu, a tem osuszyły się moczary, więc w miejscach, gdzie przed laty wodą pływałeś, lub wyżej kolan brodziłeś, co chwila strzelając do podrywającego się gęsto ptactwa, obecnie w mokre nawet lata sucho tam i przystępnie. Rok bieżący suchy, do reszty wypłoszył ztamtąd lotną zwierzynę, bekasa nie znajdziesz, dubelt białym krukiem. Była jednak chwila w Lipcu tego roku lepsza, gdy po skoszeniu łąk rozlały się na nich wody Pełtwi, środkiem ich płynącej. Pewnego poranka zjawiło się tam stadko bekasów, obyczajem swoim tu i ówdzie zrzadka zapadając. Nie tyle dobry strzelec, ile pasyonowany myśliwy młody F. ubił ich kilka, reszta wynosiła się razy kilka. Dziś mimo otawy bujnie tam wyrosłej, nie ma ani bekasów, ani dubeltów, może później nadciągną „michałki“. U wstępu wspomniałem, że w miejscach, gdzie dawniej pływały kaczki i inne wodne ptactwo, dziś pieleszą się przepiórki. Ptak dziki przeczuwa instynktem porę roku i wybiera odpowiednie miejsce na siedzibę i pieleszę. W latach mniej nawet jak bieżący suchych, ptactwo niebłotne przebywa z powodu braku wody na łąkach, byle niezbyt bagnistych. Wie o tem dobry myśliwy, więc wybiera się nie na ściernie, bo tam w skutek długiej suszy nic nie znajdzie, lecz na łąki, wcale się nie dziwiąc, gdy wyżeł jego zamiast bekasa lub dubelta, wypłoszy przepiórkę, lub z pod krzaków łozowych kuropatw stadko. I zając zdarzyć się może, więc przezornie nabił jedną lufę grubszym śrótem. W ogóle brak wody jest dla zwierzyny nader dotkliwym, bez niej ptactwo podlega chorobie „pypcia“, która młode szczególnie dziesiątkuje. Zwierzyna czworonożna, jak sarny i zające w suchych, jak bieżący, latach, dostają choroby pyskowej, sarny nadto choroby racic lub śledziony *(Milzbrand)*, wreszcie księgosuszu, obu zabójczych. Choroby te w okolicach bezwodnych, jak n. p. stepy besarabskie, przydarzają się nader rzadko. Na tych nieprzejrzanych okiem obszarach bardzo skąpo zwierzyny, jedynie z powodu braku wody, wytrwały tylko drop tam gęsty, sarn nie ma wcale, zajęcy, kuropatw i przepiórek mało. Bydło rogate w Besarabii w skutek rzadkiego pojenia, bo tam do studni często kilka mil drogi, nieraz całemi stadami ginie na chorobę śledziony lub księgosuszu. Zmysł zachowawczy wskazuje zwierzynie łownej środek zaradczy przebywania w miejscach, gdzie wodę znajduje. Sarny i zające chore na którą z wyżejwymienionych chorób, nader zakaźnych, przenoszą ją na bydło domowe, gdy się w tych miejscach pasie, lub nawet śladem chorego zwierzęcia przejdzie. *A. Ubysz.*

*) Adam Rejmers, znakomity aktor sceny lwowskiej z czasów Kamińskiego, Smochowskiego, Nowakowskiego, Benzy, Starzewskiej i innych, których tradycya w pamięci starszego pokolenia nie wygasła.

Podając zdarzenie z r. 1867 dołączam jeden z ważnych i ciekawych rysów charakterystycznych kuny. W owym roku, młodym jeszcze będąc chłopcem, wybrałem się w jesieni do lasu w Piątkowej, w powiecie Birczańskim, z zamiarem ubicia choćby dwóch jarząbków, tyle bowiem tylko posiadałem nabojów drobnego śrótu i wcale nieszczególną pojedynkę. Właśnie przechodziliśmy przez część górzystego lasu, zwanego „Czerteżem“, a był ze mną leśny Iwanko, sukiennik z profesyi, który wprawdzie znał wybornie obyczaje zwierząt, ale strzelcem nie był i chodził tylko z kosturem. Otóż mówi on do mnie: „Panyczu, ot kunycia polizła na smereka“. Ledwie mi oczy nie wylazły, takem za nią patrzał, wreszcie spostrzegłem siedzącą na szczycie wysokiego świerka, którym silny wiatr miotał. Składam się chcąc strzelać, ale Iwanko rzecze: „Hodi wam jeju zastriłyty, jesły ne znajete, jak w witer ciluwaty“. — „Głupiś“! — odparłem. „A no, no“ — mówi Iwanko z szyderczym uśmiechem. Palę tedy, spadła dorodna szyszka, a kuna jakby nic, niby majtek na szczycie masztu, pazurami uczepiona do wierzchołka drzewa huśta się z wiatrem. Dla salwowania mego honoru strzeleckiego nabijam strzelbę drugim, ostatnim nabojem i znowu palę do kuny. Tym razem spadło mnóstwo szpilek świerkowych, odciętych śrótem, a kuna zdrowa. Na odgłos strzałów nadbiegł drugi leśny, ale i ten bez strzelby. Mówi tedy Iwanko: „Seńku, skiedaj borzo chodaki i hybaj na smereka po kunyciu, może chwytysz za chwist, a ni, to strań jeju duchom, Lament (pies ogar, który był z nami) chwytyt, bo to jemu ne nowyna“. Seńko jak wiewiórka dobył się do wierzchołka drzewa. Już miał chwycić kunę za ogon, ale ona jednym skokiem spadła ze szczytu w pobliżu nas. Lament pomknął ku niej, a ona wychwyciwszy się mu, dobrała się ku pobliskim drzewom, bo świerk, z którego umknęła, stał samotny na środku małej, bezdrzewnej polanki. Mądry Iwanko wynalazł wnet środek zapobieżenia. aby kuna, dobrawszy się grupy drzew, przeskakując z konara na konar, nie poszła w dalszy las. Mówi tedy do Seńka: „Zatopy watru (rozpal ogień), naj dym sune kunyci w oczy, ja skoczu do dwora po rusznyciu“. Rozpalone ognisko po podrzuceniu mokrych liści, gęsty toczyło dym; wzdęty wiatrem, wnet objął on grupę drzew. Do dworu było dosyć daleko. Po pięciu niemal kwadransach wrócił Iwanko zdyszany, niosąc dubeltówkę samego właściciela lasu p. Löfflera. Mówi do mnie Iwanko: „Teper panyczu cilujte, ałe ne tak, jak persze, w samu kunyciu, ino bokom, jak do biżuszczyi serny“. Usłuchałem Iwanka i w istocie wymierzywszy strzelbę w przód kuny, a raczej tam, kędy wierzchołek drzewa wiatrem miotany się pochylał, strzeliłem i ubiłem piękną starą kunę. Jest to rysem charakterystycznym kuny, że ją dym przeraża czy odurza. Siedząca na samotnem drzewie, podkurzona ogniskiem, nie ruszy się z miejsca przez całą dobę. Wtedy nawet na sąsiednie drzewo nie skoczy. Strzał wymierzony na chwiejącym się wierzchołku drzewa wprost do zwierzyny, jest zawodny, bo przedmiot umyka podczas strzału. Często polując, a najczęściej w górach, nieraz próbowałem owego Iwankowego środka podkurzania kuny, zawsze z najlepszym skutkiem. Kuna, gdy siedzi w dziuple, podkurzona dymem, spada odurzona na ziemię. Na wolnem powietrzu zmruża oczy, pyszczek wetknąwszy między przednie łapy, i z rezygnacyą poddaje się następstwom, t. j. strzałowi, lub pochwyceniu żywcem, zaniechawszy środka ocalenia — ucieczki. Ryś, ostrowidz, mimo swej drapieżności, niepoślednim jest tchórzem, a raczej nad miarę ostrożnym. Gdy górale tatrzańscy spotkają rysia, przyczajonego na drzewie, nie mając strzelby, zawieszają na drzewie, na którem siedzi ryś, swoją gubanię lub kapelusz, i pewni, że ryś nie ruszy się z miejsca, idą po strzelbę, przynoszą ją, przyzywają do pomocy kilku kumotrów i ubijają go. Jeżeli szan. Redakcya pozwoli, mogę jej przesłać niejedno zdarzenie myśliwskie, jako przydatek do wielu cennych wiadomości, które „Łowiec“ swym czytelnikom daje. *Bolesław Loe...*

S t a w y. Ciekawym objawem wieku naszego, który stanął tak wysoko na polu rowoju przemysłowego i tego, co służy wygodzie i zbytkowi, jest, iż poczęto oglądać się wreszcie na chleb powszedni, na rolę i wyrabiać przeświadczenie, że może za daleko idąc w jednym kierunku, za mało zajmowano się dotąd tem, co było i będzie podstawą bytu większej części ludności, to jest rolą i stosunkami gospodarczymi. Kiedy każdą

gałęź gospodarstwa państwowego uprawiano umiejętnie, śledząc jej rozwój z matematyczną ścisłością i przezornością, opierając na obliczeniach i doświadczeniach każdy krok nowy, traktowano natomiast gospodarstwo rolne z dnia na dzień, idąc torami ubitymi przez wieki, nie licząc się z tem, że postęp ogólny wymaga i na tem polu podwojenia kroku i matematycznej ścisłości, jeżeli dochody stanąć mają na równi z innymi, a brak tychże nie ma skazać rolnika na śmierć głodową.

Dziś wobec dochodów jakie daje przemysł, wobec nierentowania się ziemi, podnoszą się głosy o samopomocy, nawołując do pracy, któraby się rentować mogła i podźwignęła rolnika ze smutnego stanu, w jaki popadł dla tego, że rolnictwo nie podąża równym krokiem z innemi gałęziami gospodarstwa narodowego. Rad teraz nie braknie, doradcy mnożą się jak grzyby po deszczu, i nie dziw, a żadnego z tych głosów lekceważyć nie należy. Wszystko, co tylko może podźwignąć zaniedbaną rolę, co może ją ochronić od możliwych strat, przynieść korzyści niewydobyte dotychczas z roli, powinno wejść w obliczenie smutnie przedstawiającego się bilansu gospodarczego. Tą myślą powodowany zwrócę uwagę na jedną stronę gospodarstwa krajowego, która leży odłogiem, a z której możnaby, jeżeli nie wszędzie, to w wielu okolicach mieć korzyści.

Rzecz godna uwagi, że po wielu wiekach wracamy tam, zkąd wyszliśmy. Cechą gospodarstwa pierwotnego u nas, w chwilach, gdy przodkowie nasi rozsiedlali się na nizinnych ziemiach słowiańskich, był chów bydła, gospodarstwo pastwiskowe, leśne i stawowe. Dziś, kiedy wytrzebiono lasy, poczynamy pojmować całą ich wartość, zaczynamy myśleć o ich ochronie i o nowem zalesieniu, dziś, kiedy ziarno bez ceny, myślimy o hodowli bydła, której sprzyjają obfitujące w paszę niziny, a nawet górskie stoki, dziś, kiedy zginęła tak znaczna ilość stawów, poprzemienianych na łąki lub pola orne, może byłoby na czasie pomyśleć o podźwignieniu tej gałęzi gospodarstwa, które może lepsze dałoby dochody od roli, uprawianej w tem miejscu.

Obszar stawów u nas w Galicyi wynosi obecnie do dziesięciu mil kwadratowych, a wieleż obejmują stawy zapuszczone, nie ma bowiem okolicy, w której nie możnaby spotkać miejsc, gdzie wspaniałe były niegdyś stawy, dostarczające obficie różnego rodzaju ryb wówczas, kiedy u nas ściślej zachowywano posty. Stawy mogłyby dostarczać nie tylko smacznego pożywienia w ciągu roku, ale nadto, prowadzone umiejętnie, dawałyby co lat parę suche dochody, które u nas w kraju zupełnie prawie wysychają w skutek niedbałości, z jaką się wielu tychże bez myśli pozbywa. Pomimo że nie ma obawy, by ryba mogła zrobić konkurencyę wołowinie, gdyż zbyt tej ostatniej obliczony jest w znacznej części na export za granicę, to mogłaby ona zastąpić często w gospodarstwie domowem artykuł pożywienia, za który co raz drożej się płaci, mogłaby zapewnić piękne dochody w obec tego, że mamy w kraju konsumentów którzy szczególnie za rybą przepadają, t. j. izraelitów.

Stawy porządnie prowadzone byłyby wielką pomocą w gospodarstwie rolnem, dostarczając w pewnych czasach nawozu, którego wyjałowione i wyssane role za wiele mieć nie będą, tem więcej, gdy nie wszyscy godzą się na produkcyę nawozu gorzelnianego, jako zbyt drogiego. Stawy oddałyby nie małą usługę i tem, że mielibyśmy w gospodarstwach tak cenne zbiorniki wody, które nie tylko ułatwiałyby urządzenie młynów i traczów, dostarczałyby motora, potrzebnego do młocarń, ale nadto gromadziłyby wody, które w jednej chwili zamulają łąki, i byłyby nieocenionymi zbiornikami namułu, tworzącego się ze spłukiwanych z pól najpożywniejszych części, które po upływie lat kilku mogłyby wracać na rolę, gdy dziś w wielu miejscach giną bezpowrotnie, znoszone ze spadającemi wodami w łożyskach rzek. Pomijam już wygodę, jaką dają stawy w okolicach, nie mających dostatecznej wody, gdzie często w upalne lata i mroźne zimy kłopot jest z pójłem bydła.

Niezmordowana i wytrwała praca Szanownego profesora Dra Max. Nowickiego przyniosłaby przy założeniu zaniedbanych stawów nierównie większe korzyści, jak zarybienie rzek, w których zarybek z trudnością utrzymać się może w czasie powodzi, a częściej jeszcze ginie w skutek braku poszanowania i tak niedostatecznych jeszcze praw tej ważnej gałęzi gospodarstwa, czego też spodziewać się trudno w obec tego, że wieśniak nasz nie rozumie, iż rzeka może być własnością prywatną, a nie należy do rzędu wspólnej własności.

Stefan Dembiński („Tygodnik rolniczy.“)

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.